



ILLUSTRACJA



BRZASK

CZESŁAW JANKOWSKI

Rosyanie w Warszawie.

Nod tym tytułem, a dokładniej: „Rosyanie i życie rosyjskie w Warszawie,” pan A. A. Sidorow wydał trzy zeszyty rozprawki, którą nazwał szkicem historycznym. Obejmuje ona czas od r. 1815 do 1895, a więc epokę bardzo ciekawą, pełną doniosłych wypadków, w których nasi dziadowie i ojcowie brali udział, której skutki odczuwamy po dziś dzień na sobie.

Czyta się też pracę p. Sidorowa z wielkiem zajęciem, aczkolwiek trzymana w tonie felietonowym, nie wyczerpująca bogatego tematu, dość powierzchowna w sądach o ludziach i rzeczach, nie może być nazwana właściwym szkicem historycznym. Autor przytem zabarwił ją pewną tendencyjnością, pewnemi pojęciami chwili obecnej, co odejmuje jego, skądinąd interesującej książce, charakter bezstronności historycznej, a nadewszystko błędne światło rzuca na wiele faktów i na wiele osób.

Wszak każdy przyzna, a nie wątpimy, że i sam autor na to się zgodzi, że do wypadków, dajmy na to z przed lat sześćdziesięciu, nie podobna stosować miary dzisiejszych wyobrażeń i pojęć. Zadaniem historyka zawsze i wszędzie jest wcielenie się, że tak powiemy w epokę, o której pisze, życie jej życiem, oddychanie jej powietrzem. Na świecie wszystko się zmienia, zmieniają się więc wyobrażenia, pojęcia, dążności i ideały. Co było prawdą przed laty trzydziestu, dziś nią nie jest częstokroć, i sądzenie jej ze stanowiska obecnych pojęć zawsze prowadzić musi i prowadzi do błędnych wyników i błędnych oświeleń. Niewątpliwie bezstronność w dziejopisarstwie jest ideałem, który nie zawsze osiągnąć się daje i bodaj czy kiedykolwiek bezwzględnie był osiągnięty, ale prawdziwy historyk z Bożej łaski, odczuwający całą doniosłość swego zadania, starać się zawsze będzie, aby ile sił i możliwości zbliżyć się do tego ideału. Nienawiści polityczne, tak potężne w danej chwili, w historii ubiegłych czasów, w kunszcie dziejopisarzkim — nie powinny mieć znaczenia.

Zabierając się do kreślenia dziejów pewnej epoki, historyk powinien pamiętać, że Bóg uczynił go sędzią ludzi i rzeczy, ludzi, którzy bronić się już nie mogą, których prochy spoczywają w mogiłach. W wyrokach więc o nich powinien być spokojny i bezstronny, z klasyczną pogodą patrzeć na przeszłe zabiegi, tryumfy i klęski, i nie trzymać się filisterskiej zasady, że ci, którym jakieś usiłowanie się nie powiodło, nie mają słuszności i są winni.

A przytem, jedną z cech pracy p. Sidorowa, jest zupełne pominięcie źródeł polskich, co oczywiście w żadnym razie na jej korzyść nie przemawia i nadaje jej charakter jednostronności i raczej artykułu dziennikarskiego, niż szkicu historycznego. Nie mamy pretensyi, że autor nic nowego nie powiedział, że

nie powołał się na żadne dokumenty archiwalne, a oparł swą pracę wyłącznie na źródłach drukowanych, znanych i każdemu przystępnych; ale możemy mieć i mamy słuszną pretensję, że tych źródeł należycie nie wyżył, a nadewszystko, powtarzamy, że pominął zupełnie źródła polskie. A i rosyjskie nie wszystkie były znane p. Sidorowowi. Wiele np. interesujących szczegółów, rzucających jaskrawe światło na epokę Królestwa konstytucyjnego i na życie Rosyan w Warszawie w tej epoce, zawierają historie pułków gwardyackich rosyjskich, konsystujących wówczas w stolicy polskiej. Grube dzieło p. Markgrafskiego o pulku litewskim gwardyi, Ługanina o pulku wołyńskim gwardyi, wreszcie Jelca o pulku huzarów grodzieńskich gwardyi, zawiera mnóstwo nadzwyczaj ciekawych faktów, zaczerpniętych bezpośrednio ze źródeł archiwalnych i wystawiających wiele osób i rzeczy w zgoła nowem oświeceniu.

Prawdziwą zasługą p. Sidorowa jest zebranie mnóstwa portretów, rycin i widoków, ilustrujących epokę, której dziełko jego jest poświęcone. Niektóre z tych rycin, skopiowane z bardzo rzadkich współczesnych litografii, są cennym nabytkiem dla historii, acz i pod tym względem autor nie mógł się ustrzedz jednostronności. Bardzo mało jest rycin, pochodzących z polskiego źródła, niema prawie portretów polskich wybitniejszych postaci z tej epoki; ale trudno z tego powodu robić jakiś zarzut autorowi: wszak pisał on tylko o Rosyanach i o życiu rosyjskiem w Warszawie. Jednakże, bądźco bądź, gdyby w ten sposób uzupełnił był swą pracę, zyskałaby ona niewątpliwie wiele.

Nie będziemy się tu zajmowali szczegółowym przeglądem dwu pierwszych zeszytów, ani też prostowaniem błędów w nich zawartych. Za dalekoby nas to zaprowadziło. Rozpatrzmy tylko ostatni zeszyt, obejmujący czas od 1861 r. aż do 1895 r., w nim bowiem najwyraźniej występują owe znamienne cechy pracy p. Sidorowa, o których poprzednio wspomnieliśmy.

W rozdziale XI (str. 125), autor mówiąc o ministrze wojny i namiestniku w Królestwie, generale Suchozanecie, powiada, że „pochodził on ze spolonizowanej szlachty gubernii Witebskiej.” Właściwie rzecz miała się przeciwnie. Suchozaneci byli starą szlachtą polsko-litewską, odwiecznymi klientami domu Radziwiłłowskiego, po wszystkich herbatach polskich, począwszy od Paprockiego, notowaną. Nie potrzebowali się więc wcale polonizować. Sam namiestnik Suchozanet, jak o tem jest powiedziane w pewnem polskiem dziele „Historia dwóch lat,” wielokrotnie się odzywał, że jego dziad był sługą Radziwiłłowskim i że dla potomka tego domu, w osobie ks. Piotra Wittgensteina (urodzonego, jak wiadomo, z Radziwiłłówny), zachował pewnego rodzaju wdzięczność, a raczej sympatyę, powstałą ze stosunku klienta do mecenasa.

Wątpliwem jest dalej i na żadnych dowodach nieopartem twierdzenie autora, jakoby „związki krwi Suchozaneta z Polakami i poprzednia jego służba w Warszawie, gdy był tutaj naczelnikiem artylerii, spowodowała jego sympatyę ku Polakom.” Rządy namiestnicze Suchozaneta wcale nie świadczą o tej sympatii; owszem przybierały one nieraz charakter surowości. Był to już starzec w tej epoce, stąd pewna chwiejność i niekonsekwencya w postępowaniu, zajmowanie się drobiazgami, a trawienie z oczu rzeczy najważniejszych *); ale to bynajmniej nie dowodzi jego sympatii ku rządzącym. Walka uparta, jaką prowadził z margrabią Wielopolskim, i ostateczne chwilowe tegoż usunięcie od władzy, jest najlepszem świadectwem, jak Suchozanet mało dbał o istotne dobro rządzonego przez siebie kraju.

Nie zdaje nam się również, by w dziele historycznem było właściwem nazywanie Król. Polskiego z r. 1861 „Przywsiłniem” (str. 129); jest to, zdaniem naszym, taki sam błąd, jak gdyby kto Wielkie Księstwo Moskiewskie z daty Iwana Groźnego nazwał Cesarstwem Wszechrosyjskiem. Historia nie jest polityką i każdej epoce trzeba zostawiać nazwy, używane przez nią, inaczej powstanie niezrozumiały chaos.

Niemniej błędnie oceniona jest działalność namiestnika Lüdersa (str. 130): „Dzielny wojak (pisze pan Sidorow), człowiek wesoly i towarzyski, Lüders był kochany i szanowany przez wojskowych. Przez cały szereg środków energicznych starał się przywrócić w kraju porządek, co też osiągnął w pewnym stopniu, ale skutek jego działalności został sparaliżowany przez utworzone, według projektu Wielopolskiego, rady miejskie i powiatowe, które stały się autorami wzburzenia rewolucyjnego, i przez wieści z Petersburga, że znajdujący się tam Wielopolski wkrótce powróci z nowymi ustępstwami.”

W tem zdaniu każdy niemal wyraz jest błędny lub nieściśły. Nie przeczymy, że Lüders miał usposobienie wesole i towarzyskie, że lubił zabawy, a zwłaszcza teatr, gdzie składał hołdy baletniczce warszawskiej, pannie Rycerkiewiczównie, ale stanowczo zaprzeczamy, jakoby był szanowany przez sfery wojskowe. Po kampanii krymskiej Lüders musiał utracić szacunek u wszystkich ludzi

*) Jak dalece Suchozanet nie pojmował swego stanowiska i chwili, w której mu przyszło rządzić krajem, oraz zajmował się rzeczami bez żadnego znaczenia, świadczy fakt następujący: W lipcu 1861 r., gdy duch rewolucyjny coraz szersze obejmował koła, w przeddzień niemal skonsolidowania się spisku w organiczne ciało, Suchozanet w depeszy do Cesarza Aleksandra II, z dnia 30 czerwca (12 lipca), donosi np. o tem, że „wczoraj deszcz ulewny zrobił wielką wyrwę na ulicy Długiej.” (Patrz „Polskaja smuta” w „Russkiej Starinie” z r. 1883, str. 328—zbiór depesz namiestników w Królestwie do Cesarza Aleksandra).

uczciwych. Autor kilkakrotnie w swem dziele cytuje znane „Zapiski M. W. Berga o polskich spiskach i powstaniach” — gdyby był je przejrzał starannie, byłby się dowiedział wielu rzeczy o Lüdersie, które stanowczo zmieniłyby jego sąd o tym generale.

Błędnem jest dalej twierdzenie, jakoby środki, użyte przez Lüdersa dla uspokojenia kraju, mogły mieć dobre skutki. Działalność jego była powierzchowna; pozornie panował spokój, ale w głębi za to nurtowały z tem większą siłą prądy niebezpieczne, których Lüders nie widział i nie odgadywał nawet. Nie paraliżowały wcale jego działań rady miejskie i powiatowe, gdyż te aż do chwili branki, bodaj czy nie najdzielniej i najskuteczniej usiłowały wpływać na uspokojenie umysłów.

Zachowywały się one legalnie, w granicach nakreślonych im przez prawo, robiły co mogły i robiły zawsze dobrze, tak, że ich czynności w tej burzliwej i groźnej epoce stanowią najjaśniejszą kartę naszych dziejów, dowodzącą wielkiej dojrzałości politycznej pewnych warstw narodu. Oczywiście tu i owdzie zdarzały się wyjątki. Czasy były zbyt gorące, by nie miały oddziaływać na głowy i serca radców miejskich i powiatowych. Gdy wszystko drżało febrą, i oni tej febrzy dostawali niekiedy poczęli — ale, powtarzamy, były to wyjątki, na palcach policzyć się dające, ogół zaś rad zajmował wobec zbliżającej się burzy raczej postawę odporną, niż przyjazną. Oskarżenie więc p. Sidorowa rad miejskich i powiatowych jest gołosłowne i fałszywe.

Niemniej nieprawdziwem jest twierdzenie p. Sidorowa, jakoby pogłoski, nadchodzą-

ce z Petersburga o nowych ustępstwach (wyraz ten autor znacząco pomieścił w cudzysłowie), podkopywały działalność generała Lüdersa. Pan Sidorow, mówiąc tak, zapomniał, a może nie wiedział o tem, że największą nieprzyjaciółką margrabiego Wielopolskiego była partya ruchu, która nie chciała ustępstw, która się ich lękała w tej obawie, że naród, zaspokojony niemi, nie będzie chciał powstania, sprzeda swe prawa za miskę soczewicy, jak się wyrażał jeden z koryfeuszów tej partyi. Pogłoski więc, nadchodzące z Petersburga o nowych ustępstwach, raczej drażniły, niż pocieszały te partye. Surowość, jaką stosował generał Lüders do najbliższych, nie raz przestępstw, była bardzo na rękę tej partyi, i ta to surowość bodaj czy nie najwięcej się przyczyniła do wzrostu i znaczenia Czerwieńców.

Niepodobna nam tu wyliczać wszystkich błędnych lub nieścisłych relacji i twierdzeń pana Sidorowa, pochodzących po części z tego, że pisząc swą książkę, pogardliwie pominął polskie źródła. Wymienimy jednak niektóre z tych błędów, choćby dla zaznaczenia, że w dziejopisarstwie nie należy żadnym dokumentem gardzić, pod karą zupełnego obniżenia wartości swej pracy. I tak: Jaroszyński, który strzelał w dn. 4 lipca 1862 r. do W. Księcia Konstantego, nie był szewcem, jak twierdzi p. Sidorow (str. 131), lecz czeladnikiem krawieckim. W. Ks. Konstanty nie mógł udzielać szerokich pełnomocnictw margrabiemu Wielopolskiemu, jak o tem zapewnia p. Sidorow (str. 131), gdyż te pełnomocnictwa naczelnik rządu cywilnego otrzymał z mocy Najwyższego ukazu. Rodzina Wielopolskich nie była wcale niemieckiego pochodzenia (str. 132), i wywodzą oni swój ród od patry-

cyuszów mieszczaństwa krakowskiego, Bonarów, którzy może niegdyś tam byli przybyłymi niemieckimi, a od nabytej wsi Wielopole, przybrali nazwisko Wielopolskich. Czyż można mówić o niemieckiej krwi w rodzinie, która przez cały ciąg kilku wieków żyła, działała i umierała w Polsce i zawsze się za polską uważała? Świdziński, czyniąc zapis swych zbiorów, wcale nie domagał się, by one mieściły się koniecznie w Warszawie, jak to utrzymuje p. Sidorow (w przypisku str. 133): „Pomieścisz je w Warszawie lub w innem miejscu, które uznasz za stosowne” — brzmi odpowiedni ustęp kodycyłu Świdzińskiego. Krewni Świdzińskiego wcale nie wygrali procesu o testament ś. p. Konstantego, tylko margrabia Wielopolski, zmęczony całą sprawą, zbiory te dobrowolnie im oddał. Margrabia nie „zagarnął władzy w Warszawie w r. 1860” (str. 134), ale mu ją powierzono Najwyższym ukazem, i nie w roku 1860, lecz 1861.

Są to wszystko zapewne drobne błędy, ale świadczą one o pośpiechu i pewnej felietonowej powierzchowności w traktowaniu wypadków historycznych. Moglibyśmy wiele jeszcze takich błędów lub nieścisłych wyrażań przytoczyć, ale artykuł nasz nabyłby przez to zbyt znacznej rozciągłości.

Taka jest w głównych zarysach praca p. Sidorowa. Czy uczyniła ona zadość ciekawemu skąd inąd zadaniu, czy nie obraża w wielu razach możliwej bezstronności historycznej, czy nie barwi namiętnościami politycznymi podniosłego ideału dziejopisarstwa — pozostawiamy sądowi czytelnika, a nadewszystko sumienności samego autora.

WALERY PRZYBOROWSKI.

Z tygodnia na tydzień.

Pajak i jaskółka. (Bajka).

— Podły! — krzyknęła Jaskółka zgorzozna, widząc, jak Pajak rozpościera sieć:

— Toć to podstęp nikczemny! — Zerwała się, leci Wprost na warsztat pajęczy. Nie dopuści ona, By tak bezkarnie pleniła się zdrada. Pajak rozważny umknął między liście I oczywiście

Uniknął ciosu. Patrzy przez szparkę, a wreszcie [zagada:

— Szanowna pani czyż muszek nie łowi?

— Tak, lecz poluję otwarcie: szybkim lotem, siłą [dziobu;

Innego nie znam sposobu.

I niech sama Mucha powie

Chociażby tam nie wiem komu:

Czy czatuję pokryjomu?

— Rycerską jesteś, pani. Lecz na to, mój Boże!

Każdy silny z łatwością zdobywać się może.

Jeżeli, słaby, w walce używam podłości,

To i tak moja Mucha twojej nie zazdrości. x

✂

Obrona pracy umysłowej i etyka.

Na jednym z licznych kongresów, odbywających się obecnie w Paryżu, poruszono, albo, ściślej mówiąc, obrabiano dalej kwestję „obrony pracy umysłowej.”

Inicytorom, którzy od lat 20 przeszło nad tą sprawą pracują, idzie przede wszystkim o stro-

nę materyalną kwestyi, o zabezpieczenie autorów i ich spadkobierców od wyzysku i t. p.

Od tego, rzecz prosta, należało zacząć, ale sądzimy, że ruch, dążący do skodyfikowania praw „Obrony pracy umysłowej,” na tem poprzestać nie może. Po za kupieckimi zarysami „prawa włas-



Józef Wolff (historyk).
(Patrz „Kronika powszechna”)

ności literackiej” ukrywa się wiele, bardzo wiele kwestyi natury etycznej.

Niektóre z nich zaczynają się powoli wyłaniać z grubego, nieforemnego pnia prawnego, niby zawiązki przyszłych gałęzi i kwiatów.

Tak np. zwrócono uwagę na cytaty, streszczenia i informacje, które wolno przedrukowywać bezpłatnie, ale z obowiązkiem podania źródła. Tu już idzie nie o wynagrodzenie materyalne, lecz uznanie publiczne prawa własności moralnej, które w literaturze jest równie ważnem, a niekiedy i stokroć ważniejszym od prawa własności materyalnej.

Jak się zdaje jednak, kongres miał na myśli tylko autorów żyjących. Otóż nasuwa się pytanie, co zrobić z autorami nieżyjącymi, których dzieła stanowią bez zaprzeczenia własność publiczną? Czy wolno ich grabić bezkarnie? W tym wypadku przecie o wynagrodzeniu pieniężnem mowy być nie może.

Kongres proponuje, żeby wydawcy, przedrukujący dzieła dawno zmarłych pisarzy, wnosili za to pewną sumę do kas instytucji użytku publicznego.

Projekt ten ma swoje dobre i swoje złe strony, a w dodatku załatwia jedną tylko, i jak zwykle, finansową stronę sprawy. Przecież prócz wydawców, korzystają z dzieł pisarzy nieżyjących, a niekiedy i żyjących, ale nie mogących się bronić, lite-

raci, którzy czerpią z nich całymi garściami pomysły, idee, cytaty i podają je, z zupełną świadomością, za *swoje*, zyskując przez to, jeżeli nie pieniądze, to sławę, rozgłos, wpływ, znaczenie i t. p.

Nie idzie tu naturalnie o jawne kompilacje, streszczenia, popularyzacje, naśladownictwa, ani też o bezwiedne poddanie się wpływom wielkich mistrzów słowa i myśli.

Rzeczy te są normalnymi objawami procesu ewolucyjnego, i krytyka bierze je za to, czem są i za co się podają.

Zdarzają się jednak wypadki, że pisarz zdolny, ambitny, ale mało wykształcony, opiera się świadomie na jakimś mało znanym ogółowi specjalistów, zwłaszcza cudzoziemcu, przekłada z niego całe ustępy, nie cytując źródła, przywłaszcza sobie jego erudycję, jego idee i, obrobiwszy to wszystko w sposób mniej lub więcej samodzielny, drukuje jako rzecz nawskroś oryginalną, własną, i zbiera za to laury, nie ryzykując prawie nic.

Jeżeli bowiem zdarzy się przypadkiem krytyk, który zamaskowaną „pożyczkę“ wykryje, to niezawsze będzie miał dosyć odwagi, żeby sprawę tak delikatną „oświecić“ w sposób należyty, a jeżeli zdobędzie się na krok tak zuchwały, to go większość wpływowa prasy nie poprze, a nawet półgębkiem potępi za robienie skandalów i dyskredytowanie „pożytecznych pracowników.“

Trzeba dopiero grubych awantur, żeby złamać „piersień milczenia.“ Tak np. drobne plagiaty, jakimi są przepełnione „Główne Prądy“ Brandesa wyszły na jaw dopiero wskutek procesów ze Strodmanem i Schmidtem (patrz „Magazin für die Litter.“ 1888).

U nas, wskutek zaściankowości stosunków, reakcja etyczna na podobne nadużycia następuje jeszcze wolniej i trudniej. A jednak to są nadużycia, nie różniące się ze stanowiska etycznego niczem od zwykłych, karanych kryminalnie plagiatów i kradzieży literackich.

Drugim, kto wie czy nie gorszym nadużyciem, które kwalifikuje się pod prawo „obrony pracy umysłowej“, jest: cytowanie cudzych słów i myśli z podaniem źródła wprawdzie, ale z opuszczeniami i przekręceniami tekstu, paczącami treść i sens cytaty. Zdarza się to bardzo często w krytykach, polemikach i artykułach publicystycznych i, czy pochodzi z niedbalstwa, czy ze złej woli—zawsze zasługuje na potępienie.

Jest to jedna z największych, a zarazem najmniej odczuwanych przez ogół, krzywd moralnych, jaką autorowi wyrządzić można. Wnioski, wyprawdane ze sfalszowanej cytaty, mogą zabić, ośmieszyć, zohydzić najlepszą pracę i przynieść przez to szkodę nie tylko autorowi, lecz i społeczeństwu.

Jeżeli fałszerz weksli, lub produktów spożywczych godzien jest nie tylko kary, lecz i pogardy ogółu, to dla czegoż fałszerz cudzych myśli, zwłaszcza świadomy, bo i takich nie brak, nie naraża się na nic prócz nikłego sprostowania, o które pokrzywdzony autor nie zawsze umie się dopomnieć, a które w dodatku najczęściej przechodzi niepostrzeżone, albo zostaje wykrzywione po raz drugi w t. zw. „replique“

Za obelgi, za potwarz w druku, za potrącenie na ulicy można żądać satysfakcji, zarówno honorowej, jak sądowej; sfalszowanie myśli, które da się *sprawdzić* w sposób najzupełniej obiektywny, jest bezkarnem nie tylko wobec prawa, lecz i wobec opinii publicznej.

A niewiadomo, co jest z dwójga złego gorsze. Obelgami i potwarzą, niesprawiedliwym sądem można w pewnych wypadkach pogardzać. Sfalszowana jednak, a nie sprostowana w sposób jawny, głośny i rzetelny cytata, myśl, maksyma, rzuca niekiedy na zdyskredytowanego przez to niesłusznie pisarza—cień, który mu towarzyszy przez całe życie...

Takich rzeczy bagatelizować nie można, i nie wątpimy, że kiedyś, nieprędko zapewne, stowarzyszenie „Obrony pracy umysłowej“, załatwiwszy się z materialną stroną kwestyi, pomyśli i o etyczno-prawnej. Do pewnego stopnia już nawet pomysłało, wnosząc projekt prawa, zabraniającego przeróbek i skróceń, mogących przedstawić dzieło autora, nawet nieżyjącego, w fałszywym świetle. Projekt ma na myśli głównie spekulacje wydawnicze; czyż jednak nie są równie groźni dla autorów spekulanci literacko-dziennikarscy? M.

W Dolinie Szwajcarskiej.

Siadam w pierwszym rzędzie krzeseł, by nie stracić ani jednego dźwięku z koncertu skrzypcowego Godarda, zapowiedzianego w programie. Rozmawiająca publiczność zajmuje stoliki; solista, powitany hucznym brawem, staje na estradzie; orkiestra rozpoczyna nerwową, w rytmicznych akordach rzuconą przygrywkę. Po chwili rozbrzmiewa solo, również nerwowe, dzikich zgrzytów i szarpań pełne.

Skrzypce jęczą tym dziwnym suchotniczym tonem, który na powietrzu rozbrzmiewa z pod smyczka najdzielniejszych mistrzów.

Dokoła lamp rozpalonych zaczynają krążyć ćmy białe; mimo pawilonu orkiestry furka kiedy niekiedy ptak zbudzony, rzucając na jasne ściany krótki cień migotliwy.

Jęk skrzypiec, ćmy białe, cienie zbudzonych ptaków, wszystko to wytwarza nastrój. Kąpią się w nim słuchacze z krzeseł, do których Godard, ten płytki zazwyczaj, salonowy kompozytor, przemówił w skrzypcowym swym koncercie taką żywą, tak prawdziwą mową duszy współczesnej, że odnajdują w niej własne szarpania i zgryzoty, tony i półtony własnych przesubtelnych bólów.

— No, jakże się decydujesz: zostaniemy tu na kolacji, czy też machniemy do Brühla?—pyta nagle, przechodząc przed estradą, modny gogo w żółtych butach i fałdźistem palcie—drugiej, jak on, z żurnalu wyciętej lalki, która mu towarzyszy.

Kroki ich skrzypią na żwirze piasku, głuśnąc dźwięki orkiestry. Nastrój pierzcha.

Czy publika z krzeseł, która przychodzi do Doliny dla słuchania, nie dla rozmowy i kolacji, nie ma prawa żądać, by w czasie wykonywania bardziej zajmujących numerów programu odgradzano od estrady sznurem, jak to bywa wszędzie za granicą, swobodnych spacerowiczów, szukających w muzyce nie tyle upragnionych duchowych wrażeń, ile... pobudki dobrego apetytu? cw



Emigracja mieszkaniowa.

Stare domy w najbardziej zaludnionych dzielnicach miasta, gdzie dotychczas każde wolne mieszkanie znajdowało lokatora, stoją w tej chwili pustkami.

Rozejrzyjmy się po Nowolipiu, Lesznie i innych ulicach w środkowej części Warszawy, porozmawiajmy z jednym, drugim i trzecim właścicielem domu, a przekonamy się, że przeciągnięta struna podwyżek za komorne pękła wreszcie.

— Mieszkania staniały!—myślisz, zacierając ręce, czytelniku?

Jeszcze nie, ale wkrótce, za miesiąc, za dwa, trzy miesiące najdalej, przyjdzie niewątpliwie ta okoliczność pożądana.

Na kartach i w ogłoszeniach czytamy wciąż wprawdzie jeszcze: „Cztery pokoje za 600, pięć za 700 rub. i t. p. do wynajęcia;“ ale każdy nowo przybywający lub szukający lepszego pomieszczenia dla siebie i rodziny lokator ogląda się za wygodami kultury nowoczesnej, jak łazienką w domu, obszerną i widną kuchnię z pokojkiem dla służących, przewiewną spiżarnią, wreszcie za dobrodziejstwami kanalizacji, które do tej pory jeszcze nacieszyć się dostatecznie nie możemy.

Ani wanny, ani pokoiku dla służących, ani przewiewnych spiżarni nie spotykamy w starych

domach, gdzie z natury rzeczy przy opadających murach i tynkach sufitów, a nadewszystko przy niższych stokroć pokojach, trudniej daleko utrzymać wzorowy porządek, aniżeli w nowych, niedawno wykończonych mieszkaniach.

Rzecz prosta, iż mając ceny mniej więcej jednakowe w starych i nowych domach, wybieramy te ostatnie.

Właściciele wiekowych kamienic biorą się na sposoby. Ten i ów każe pomalować klatkę schodową, położyć nowy chodnik na stopniach, wprawi bogatsze szyby w oknach, wprowadzi gaz na miejsce kopających lampek natcanych—i zdaje mu się, że to wszystko nada stuletniej staruszcze wdzięk młodej dziewczyny.

Niestety, lokatorowie nie dadzą się „wziąć na kawał“, a dowodem tego tłumna emigracja ze starych domów do nowych.

Okoliczność ta zaskoczyła naszych kamieniczników tak nagle, iż w tej chwili zapewne nie są w stanie jeszcze zdać sobie z niej sprawy; poczekajmy jednak trochę, a wnet pewne minusy na listach płacy okażą, iż uznali konieczność malej kapitulacji.

Lokatorowie o cieńszych sakiewkach wrócą wówczas niechybnie. Ten i ów będzie wołał wyrzec się łazienki kosztem ulg w budżecie. cw

Z powodu projektowanych kursów dla kucharek.

Skargom na brak uzdolnionej i przygotowanej odpowiednio służby niema u nas końca i miary. Na dziesięć grup niewiast, rozprawiających żywo i z uniesieniem, przysiądz można, że w ośmiu co najmniej mówi się o trudnościach prowadzenia domu w skutek niemożności zdobycia dobrej obsługi.

Z pokojówkami jeszcze jako tako poradzić sobie można: jak sprzątnąć mieszkanie, zetrzeć kurze, każda mniej więcej pani pokaże; prania i prasowania uczą pralnie; najtrudniejsza jednak sprawa z gotowaniem. Trzeba samym stać przy ogniu, próbować potraw, przyprawiać sosy, inaczej—pies nawet otrząsnąłby się na każdy obiad!—szlochają kapłanki naszych domowych ognisk.

„Więc zróbcież cokolwiek dla zaradzenia złemu!“—wołają głosy trzeźwych doradców.

Tak jest, zróbcie, tembardziej, że lekarstwo już gotowe i tylko sięgnąć po nie trzeba.

Od lat kilku w łonie delegacji pracy kobiet przy Muzeum popierania przemysłu i handlu kółce się projekt otworzenia kursów dla kucharek. Kosztorys ich i całe urządzenie już zostało najszczegółowiej obmyślane. Cyfra wymaganego kapitału zakładowego wynosi 3.000 rub. Mógłby on z łatwością powstać z 25-cio rublowych wkładów, rodzaju akcyi, gdyby panie nasze około zgromadzenia ich zakrzętnąć się zechciały.

Pieniądze te nie poszłyby na marne, a nawet kto wie, czy nie przyniosłyby pewnego procentu, przy kursach kucharskich bowiem projektowaną jest restauracja, która, w razie powodzenia, zapewniłaby mogła dość znaczne dochody.

Zależy więc tylko na odpowiednim napływie akcyonariuszek—czyż to powinno pociągnąć za sobą nadzwyczajne trudności?

Skoro idzie o lożę benefisową, lub prezent dla przyjaciółki, pieniądze znajdują się zawsze. Czyżbyśmy więc brakiem ich miały tłómaczyć się wówczas, gdy drobna stosunkowo suma przynieść może doraźny pożytek nie tylko nam samym, lecz nadewszystko setkom dziewcząt, które brak możliwości zdobycia zawodowej nauki pcha częstokroć na dno upodlenia i nędzy?

Nie żałujmy trudu i—poświęćmy jedną lożę w operze dla zaradzenia złemu, na które narzekamy.

Ktokolwiek zechce posłuchać wezwania, raczy zwrócić się do delegacji kobiet przy Muzeum pop. prz. i handlu (Krakowskie Przedmieście 60). Każdej niedzieli od 1-ej do 3-ej udzielone tam być mogą bliższe wskazówki co do projektowanych kursów. cw.

OR-OT (ARTUR OPPMAN).*)

Coś z trubadura i minnezengera tkwi w pier-
si popularnego pieś-
niarza „Starego mia-
sta“ i epopei Napo-
leńskiej. Wieczyście
rozmarzony i wdął
wpatrzony, śni wciąż
o „świecie lat minio-
nych“ — o rycerzach,
turniejach i bojach,
snuje baśnie średnio-
wieczne o pięknych
królewnach i paziach
złotowłosych, trybu-
nałach miłosnych i
zwycięstwach lutni-
stów... wierności serc
złączonych talizma-
nem uczuć... „anio-
łach białych“ i t. p.
widmach uroczych,
które tylko westchnie-
niami i tęsknotą o-
gromną przywołać
można na padół ziem-
ski...

Or-Ot błąka się
wśród rozlogów życia,
omotany błękitną
przedzą swych ma-
rzeń, oświecony po-
światą bladego księ-
życa, zatopiony we
wspomnieniach, rzew-
ny i melancholijny
i cichy.

„O, błogo sercu, gdy
[po troskach wielu
Zakwitło bladym rezyg-
[nacyi kwiatem...”

— powiada nieraz,
spragniony „cichego jakiegoś trwania,” cho-
ciaż uznaje, że

„...nie można ciszą się tą zbawić
I z trosk żywota uwolnić się splotów...”
(„Rezygnacya”).

Gotów więc jest iść tam, gdzie „walka
bytu groźny zamęt stwarza,” ale to więcej
dlatego, że duma lutnisty każe mu trwać
hardo na posterunku, niż z potrzeby i uko-
chania walki. Na stanowisku, wyznaczonem
mu przez losy, stoi z wiarą „w namaszczo-
nych serc męstwo.”

„Ale czasem—o zmroku—stojącemu na straży
Cicha błysnie łza w oku, tęsknie serce zamarzy...”

Nędzom bytu i obmierzłej rzeczywistości
nie przeciwstawia się, jak inni, całą potęgą
namiętności i czynnych władz ducha, lecz
odwraca się od widoków wstrętnych i ustę-
puje przed zabójczym technieniem. Miękki
i chwiejny—błędny, jak ptak lotny—nie szu-

*) Z powodu świeżo wydanego „Wyboru
poezyi“ Or-Ota. Warszawa, 1900. Gebethner
i Wolff.



ARTUR OPPMAN (OR-OT)

ANTONI KAMIEŃSKI

ka burz i prądów przeciwnych, lecz snów,
marzeń i wspomnień. Czasami tylko duch
jego jest pełny przerażeń i „jak wyklęty się
smuci,” czasami pierś, rozdarta błyskawicą
świadomości, wyda okrzyk buntu i zgrozy:

„Zjaw się, słońce me, zjaw!
Bądź aniołem mych dni!
Tchnij płomienie w zastygłą pierś głazu!
Albo ducha mi zbaw:
Niechaj walczy i śni,
Albo w nicość niech runę odrazu!”
(„Krzyk.”)

Podobnie jednak krańcowe i wywołane
gwałtem duszy zniecierpliwionej wybuchy
spotykają się rzadko w utworach Or-Ota.

Tragizmów zupełnych, zwątpień osta-
tecznych, szalów, rozdwojeń i rozpaczoty otchłan-
nych mniej jest w duszy jego, niż żalów ci-
chych i smętków łagodnych, rozrzewnień
pieszczotliwych i melancholii powiewnych.

Serce Or-Ota częściej w łzach się pławi,
niż we krwi. Łzy te są bardzo szczere, jak
szczeremi są cierpienia poety i nieudany
smutek, ale mają tę własność, że łagodzą mu

duszę: niema w nich
nieczadliwego, nie tru-
jącego śmiertelnie.
Poeta odczuwa głębo-
ko niedolę życia swe-
go, opadają go zwąt-
pienia i zniechęcenia,
z powodu doznanych
zawodów, więc się
skarży nieraz i oddaje
się rozpacz; w końcu
jednak—

„Wzbiera w sercu rzew-
[nych uczuć fala,
W dal pierzchają znie-
[chęcenia mgły!...”

Właśnie ta „fala
rzewnych uczuć,” jest
bardzo charaktery-
styczną dla życia we-
wnętrznego poety. Ona
to wśród cierpień i
trosk przynosi mu
wspomnienie słonecz-
nych chwil, wstrząsa
dreszczem ubiegłych
upojeń, rozlewa w du-
szy jakieś ciepło ożyw-
cze, które jej nie po-
zwala marnieć osta-
tecznie i trapić się
wciąż beznadziejnem
poczuciem własnego
sieroctwa i pokrzyw-
dzenia. Żaden może
z naszych poetów
współczesnych nie po-
siada tyle tej dobro-
czynnej zdolności „roz-
rzewniania się,” co
Or-Ot.

Inni litują się,
współczują, wstrząsa-
ją się ogromem włas-

nych i cudzych nędz, lub im złorzeczą;
Or-Ot przede wszystkim — rozrzewnia się...
Gdy rozważa smutną drogę własnych prze-
znaczeń, rozrzewnia go myśl o tem, że
jednak w życiu jego „jaśniały gwiazdy na
pochmurnem niebie;” gdy „przeklina losy
co—niemiłosierne—dzieli serca i duchy zbra-
tane”—wnet rozrzewnia go radosne przeczu-
cie, że serca te, pomimo wszystko, zawsze
pozostaną sobie wierne; gdy wreszcie trwoży
go ostateczna nicość wszelkiego bytu, to, że
śmierć chmurą ciemną przesłoni mu oczy,
i tu znowu rozrzewnia go wiara w zaświato-
we istnienie, w nieśmiertelność pieśni, wogóle
w niezniszczalność jakiejś cząstki jego istoty.
Or-Ot nawet w tragediach dziejowych po-
trafi upatrzeć jakieś strony błogie i kojące,
coś miękkiego i rzewnego, co zmniejsza ich
grozę i bezwzględność. Oto—jak sam powia-
da—„epos kona...,” gaśnie gwiazda wodza...
w nurtach Elstery giną nadzieje. Krew ścina
się w żyłach poety na myśl o klęsce podob-
nej, jednakże w tejże chwili staje przed nim
postać jakaś cicha tylko i blada i „oddaje

Bogu to, co jej Bóg powierzył.“ Groza wypadku utonęła w fali rozrzwienia, a dusza twórcy, na widok tej postaci „bladej“, w chmurach się unoszącej, doznaje ukojenia i przycicha.

Wylew rzewności tak jest nieodłączny od wszelkich ruchów duszy poety, że nieraz następuje przedwcześnie, bez dostatecznych powodów do żałowania kogoś lub czegoś. Oto wyprawia np. Or-Ot imćpanów Barwinków na „peregrynację do Ziemi Świętej“ (p. „Fragment z kroniki mieszczańskiej“—niestety nieobjęty „Wyborem poezji“)... Scena uroczysta, surowa, nie usposabiająca do łez, owszem prawie radosna, jak myśl o spełnieniu wielkich zamiarów, jak wyprawa zwycięzcy...

„Taborem wozów gościniec turkota,
W blachach a forbach czwają rycerze,
A między możne płata się gołota
I płazem bierze!“

Niemasz tu miejsca na czarne przecucia, na trwogę i szlochy! Jednakże poecie i tu obiegają smutne przewidywania, serce rozżala się nad dolą wogóle tych, co tułają się po świecie, zdala od ziemi rodzinnej, i wnet płynie przecudna pieśń żalu, współczucia i rozrzwienia...

„Głóg zbierał będzie na rodzajnej niwie,
Siła wycierpi i napłacze siła
Ten, kto od ciebie w dalekości żywie,
Ojczyzna miła!“

Or-Ot rozkochany jest w sytuacjach i faktach, pobudzających go do rozrzwień.

Wszystko, skąd wieje smutek zapomnienia, co uległo z biegiem lat zaniedbania i do życia dzisiejszego nie dostrojone, czego blask już przyćmiony; wszystko, co przeznaczeń swoich spełnić nie mogło, co przeżyło ducha swego i świeci pustką, co marnieje i poniewiera się—wszystko to znajduje orędownika i pieśniarza oddanego w Or-Ocie. Kult dla „Starego miasta“, dla jego cichych zaułków i facyatek, dla typów wymierających, dla dawnej ich świetności i siły, płynie głównie z jego skłonności do rozrzwień miękkich, do żalów i skarg łagodnych. Kocha się w murach zezerniałych i popekanych, dlatego, że ludzie od nich stronią, że mają wygląd żałosny; roztkliwia się widokiem typów staromiejskich dlatego, że przeszłość zabrała im wszystko, co drogie, a terażniejszość nie może ich pocieszyć, nie może wrócić im sił straconych i prześnionych marzeń. Żałuje weteranów Napoleońskich za to, że są osieroceni, że im „wydarto cesarza na wieki...“ On nawet samego Bonapartego rzewnie opłakuje, za to—między innemi—że

„pod wierzbami płaczącemi
W obcej ziemi śpi dalekiej!...“

Najtragiczniejsze zdarzenia występują w jego wyobraźni w jakimś idylicznym oświeceniu. Rozpacz ma swoją stronę idyliczną, łagodną; niedola życia—również; śmierć—także idyllą może się skończyć, np:

„Grób mi kopcie na rozstaju,
Dajcie lutnię za wezglowie;

Tu się zleca w każdym maju
Rozkochani słowikowie...“

(„Rym o wędrownym muzykusie“).

Or-Ot mało ma w duchu swoim usposobień rozpaczliwych i beznadziejnych człowieka współczesnego: niewiarą nie jest zżarty, poczuciem jałowego szamotania się nie odrętwiony. Prosty i wierzący, dobry i czuły, nie chce pozwolić na to, by życie czyjeś składało się tylko z zawodów i klęsk, było złem i nicstwem bezwzględem, nie chce dopuścić, by nie doznało kiedyś wyrównania krzywd i pocieszenia.

W duszy jego falują uczucia sprzeczne, ale on żadnemu nie oddaje się na zawsze. Bezwzględny poglądom na świat nie hołduje, filozoficznych uprzedzeń do życia nie żywi, idzie z biegiem jego, wyczuwa przemiany, zapada w mroczne otchłanie, lub wzbija się ku niebu, posłuszny zawsze rozkazom serca; sercem trapi się, zniechęca i rezygnuje, sercem—spodziewa się i wierzy w lepsze przeznaczenie. *)

WŁ. JABŁONOWSKI.

*) Nie rozpatrywaliśmy szczegółowo utworów Or-Ota, zawartych w „Wyborze poezji“, gdyż chodziło nam głównie o scharakteryzowanie źródła, z którego płyną. Do „Wyboru“ weszły utwory z rozmaitych cyklów, mianowicie: „Stare miasto“, „Średniowieczne Echa“, „Blizkiej... dalekiej“, „Dusza i Zmysły“, „Za króla Stasia“, „Warszawa w rymach“ etc.

Or-Ot: Z cyklu „Pamiętnik.“

ODDAJ MI DUSZĘ!

Na całą wieczność ja i ty
Mieliśmy być jak jedno!
Biegły z serc naszych takie skry,
Przy których słońca bledną!
A dziś, pomimo że jak wpierw,
Kocham—i kochać muszę,
Z krzykiem się tarzam, jako czerw:
Oddaj mi moją duszę!

Pękło mi serce! pękło mi!
Rozdarło się na ćwierci!
Czemże dziś będą moje dni?
Łańcuchem ciągłych śmierci!
Czemże dziś będą moje dni?
Katuszą nad katusze!...
Na łez ocean! morze krwi!
Oddaj mi moją duszę!

Ten dawny—dumny—czysty ja
Twym krwawym stał się łupem!
Skorupa licha tylko trwa:
Chodzącym jestem trupem!
W kamienny-m jakiś zastygł słup
I z bólu w proch się kruszę—
Chociażbym zaraz runął w grób,
Oddaj mi moją duszę!

Poszła do ciebie, jako pies!
U nóg się twych czołgała!
Mało ci było moich łez?
Krwi mojej mało—ś miała?
Zdeptałaś zorzę—gwiazdę—kwiat,
A ona drżała w skrusze!

Oddaj mi życie! oddaj świat!
Oddaj mi moją duszę!

Dałem ją tobie! dałem ją!
Na wieki! po za wieki!
Niechby spłynęła żywą krwią!
Spaliła się od spieki!
Mogłaś ją szyderstw chłostą sieć
W potworną uczuć suszę,
Ale jej w błoto nie dam wleć!
Oddaj mi moją duszę!

Idź! bądź czem pragniesz! bądź czem chcesz!
Giń! rzucaj się w odmęty!
Wydrzyj mi serce! wszystko bierz!
Lecz nie tknij rzeczy świętej!
Nim runie na mnie śmierci gład,
Nim padnę w grobu gładzę,
Chcę znowu sobą być choć raz!...
Oddaj mi moją duszę!...

ANIMA LIBERATA.

Leć, duszo moja! leć wyswobodzona!
Otrząśnij błoto z poplamionych skrzydeł!
Bez krwi i łzami ociekłych wędzideł,
Rwij się na błękit z pękniętego łona.

Byłaś jak orzeł, monarszy ptak burzy,
Zszarganych kwiatów okuty łańcuchem,
Ocknij się! poczuj, żeś królewskim duchem!
Że ci bić w słońce, a nie mrzeć w kałuży!

Nikt! nikt nie widział, jak się krew twa toczy,
Jak się rozpacznie tłukłaś o swe więzy,

W jakie ohydne zepchnięto cię zgręzy,
I jak ci plwano w rozkochane oczy!

Psem cię zrobiono! prochem! bez nazwiska
Czemś, co się rzuca, jak łachman, na śmietnik!
Ciebie, coś była jak różany kwietnik,
Jak pieśń, co śpiewa, i gwiazda, co błyska.

Gdyś ze skurczonem od męki obliczem
Z niewysłowionej szalała tęsknoty,
Kropla po kropli, żrący jad zgryzoty
Sączono w ciebie, siekąc szyderstw biczem!

Kamień-by zadrgnął szatan—nie już człowiek—
Swej-by ofiary zaprzestał dręczenia,—
Dla ciebie nigdy nie było wytchnienia,
Od ócz otwarcia do zamknięcia powiek!

Leć, duszo moja! Nie tobie! nie tobie
Ginać w tym ścieku, jak robak zdeptany!
Ty masz błękity! słońca! oceany!
Boga nad sobą—i Boga masz w sobie!

Leć, duszo moja! tam są twoje światy!
Tam twe królestwo na orlej wyżynie!
Zwlec zgrzebny łachman—niech z przeszłością
I wdziej napowrót królewskie szkarlaty! [ginie!]

Leć—i nie jęknij! odwróć się ze wstrętem!
Żaden krzyk bólu niech cię nie poniża!
Nie! tyś nie była przybita do krzyża!
Nie! tyś ginęła w bagnisku przekletem!

Leć z rzeczy wielkich i świętych tęsknotą
I tem się tylko smuć, o duszo moja,
Że z ciebie płynie, jak woda ze zdroja
Pieśń—i że pieśnią ozłocisz—to błoto!

Artur Gruszecki: Na drugą półkulę.

Sprawozdanie specjalne delegata Tygodnika Ilustrowanego.

Dokończenie



Lucena-Polonia: Widok z mojego okna.

Bardzo słusznie pisze p. J. Nieborski w jednym z pism galicyjskich o tej sprawie, że perspektywą zysków, a tembardziej nieudolną reklamą, nie zjedna sobie Towarzystwo kolonizacyjne tych ludzi, których materialnego lub moralnego poparcia potrzebuje. Ci, którzy tego rodzaju środkami próbują poruszyć opinię publiczną, szkodzą instytucji i sprawie osadnictwa polskiego.

Chcąc pozyskać dla sprawy opinię publiczną, trzeba przedstawić jej cel wielki, poważny i szeroki program działalności, ale przedstawić tak, ażeby przemówił zarówno do serca, jak do rozumu. Łatwiej zdobyć miliony na wielką sprawę, niż tysiące na drobne przedsięwzięcie, chociażby użyteczne i obiecujące znaczne zyski.

Widzimy duży rozmach tam, gdzie go być nie powinno, w rzucaniu dowolnymi cyframi i faktami, w wyliczaniu rzeczywistych i bardzo wątpliwych (mineralnych) bogactw Parany, w określaniu stopy przewidywanego zysku i przyszłej wartości udziałów. Natomiast tam, gdzie byłby ten rozmach potrzebny, przy kreśleniu programu działalności i zadań towarzystwa, niema go wcale. Ostatecznie rzecz cała redukuje się do pozyskania skromnej sumy 150,000 zł., która pozwoli osadzić w Paranie w ciągu lat kilku 800, a może tylko, według ściślejszego obliczenia, 400 rodzin.

No, przecież w taki sposób nie można budować „Nowej Polski” w Brazylii, ani chociażby organizować osadnictwa polskiego. Dla takiego rezultatu niewarto niepokoić, ani tymbardziej bałamucić opinii publicznej. W takim zakresie działania Towarzystwo ko-

lonizacyjne stanie się zwykłym przedsięwzięciem parcelacyjnym, tem różniącym się tylko od innych podobnych przedsięwzięć, że kierownictwo jego znajdować się będzie o parę tysięcy mil od miejsca właściwego działania.

Sam nawet pan J. Siemiradzki pisze (Szlakiem wychodźców, t. II, str. 38), że od osób prywatnych mogą koloniści nabywać odmierzone parcele ziemi, płacąc za dwa i pół hektara (t. j. za brazylijski alquier) po 50 do 100 milrejsów, dla czegoż polskie „Towarzystwo”, założone, jak ogłasza p. J. Siemiradzki, „w celach poważnej doniosłości społecznej i filantropijnej”, ma brać za alquier dziewięć ziem od 100 do 500 milrejsów! W tym wypadku chyba tylko koloniści byłiby filantropami dla „Towarzystwa kolonizacyjno-handlowego.”

Artykuł we wpływowym piśmie, mówiący o zakupie ziemi przez Towarzystwo na parcelację, czyta nie tylko inteligencja, lecz i pokojówka, kucharka, stróż, a wieść o ziemi i pomocy, przybierając potworne rozmiary, przedostaje się do ludu. Sam znam przykład, że jeden z podmiejskich właścicieli, przeczytawszy „Kuryera”, chciał sprzedać ziemię, dom, aby się przenieść do Parany, i z trudnością dał się powstrzymać—a ilu takich być mogło?!

Nic łatwiejszego, niż wszcząć wrzenie emigracyjne wśród biednych, żądnych ziemi i dostatku chłopów. Groźby, namowy,estrogi nic nie pomogą, jak uczy doświadczenie Królestwa z r. 1891 i Galicji 1894 i 1895, emigranci mogą pójść ławą, i nie 400 rodzin, na które są obliczone marne 20,000 hektarów ziemi parańskiej, mających się zakupić, lecz może runąć za morze 20,000 i więcej, są bowiem powiaty i gubernie Królestwa, które nie były wcale dotknięte gorączką emigracyjną z r. 1891. W tym roku, jak pisma doniosły, wyemigrowało na wiosnę z gubernii Siedleckiej 300 rodzin, a jak mówił p. W. Pohl, konsul austriacki w Kurytybie, roczny przypływ z Galicji wynosi przeszło 1000 osób, należy tedy być bardzo ostrożnym w rozpowszechnianiu zachęty do wychodźstwa.

Koniec pieśni, tak czule rozpoczętej w „Kuryerze” i w broszurze: „Polacy za morzem” p. J. Siemiradzkiego, może być bardzo smutny i opłakany.

Jesteśmy krajem stosunkowo przełudnionym, bo gdy na kilometr kwadratowy liczą Prusy wschodnie 55 mieszkańców, Królestwo ma 75, a Galicja 90. Brak przemysłu, wielka podaż rąk roboczych, trudność zarobku, powodują głód i nędzę, a to są źli doradcy w życiu i skłaniają bieda-

ków do bezwzględnej wiary w każdy promyk nadziei poprawienia losu, choćby za dziesiątymi górami i morzami, bez względu na oczekujące ich cierpienia, choroby, głód, a bardzo często śmierć.

Trzeba posłuchać kolonistów z Rio Claro i Prudentopolis, jaką okropną nędzę przeszli... Gotowali jagody nieznane, chorowali na biegunkę krwawą, ratunku nie było, umierali... Zastępowali o palmitach, więc jedli gotowany miąższ palm, pochorowali się i umierali; kradli bydło kaboklom, uciekali w lasy, by ginąć z głodu i rozpacz. Po prostu mrowie przechodzi na myśl, jak, ile i co przecierpieli ci emigranci.

Te 300,000 franków, w stosunku do naszego przeludnienia i innych smutnych warunków bytu, robią wrażenie marne, kopającego kaganka, z którym ktoś się uwija wśród beczek prochu strzelniczego. Tak drobną stosunkowo kwotą 120,000 rubli (300,000 franków) można było przecież łatwo zebrać prywatną drogą, bez uciekania się do rozgłaszania w pismach i broszurach, co zawsze bądźco bądź grozi niebezpieczeństwem tłumniejszej emigracji, zwłaszcza przy niepomiernej zachwalaniu Parany.

Z tego, że występuję przeciw „Towarzystwu kolonizacyjno-handlowemu”, bynajmniej nie wynika, że jestem przeciwnikiem każdej działalności w kierunku emigracji i emigrantów. Powtarzam, że z tego, co widziałem i doświadczyłem, uważam Parę za kraj odpowiedni dla naszej emigracji, że roztoczenie opieki moralnej i materialnej nad emigrantami tak w drodze, jak i na miejscu, jest rzeczą konieczną i potrzebną, że wreszcie 45,000 Polaków za morzem, i w dodatku tak dzielnych i ener-



Skraj lasu na szakrze kościelnym w Lucenie.

gicznych, stanowi dla nas poważny zawiązek i nie wolno nam o nich zapominać.

Każdy naród posiada swe ideały życia praktycznego i dąży wytrwale w tym kierunku. Dla Niemca wystarcza mieć handel, pewny dochód, kufel piwa i spokój; dla Francuza—zostać kapitalistą, mieć domek i ogródek; a nasz chłop, skoro poczuje byt zapewniony, chce mieć syna... panem, ze smakiem, manierami, nawykami pana szlacheica.

Nie inni są i nasi koloniści, a jeśli idzie o utrzymanie ich narodowości, to jest rzeczą konieczną dać tym kolonistom wzory, noszące wysoko sztandar naszej cywilizacji i naszej narodowości; w przeciwnym razie, ich synowie będą się musieli z konieczności dociągać do „panów” brazylijskich, zarzucać swój język i utoną w brazylijszczyźnie.

Ale na to nie trzeba wspaniałych delegatów, ani komiwojażerów z próbkami towa-

rów, ani twórców partii socjalistycznej w Paranie, gdzie każdy, znając stosunki, przy pracy posiada ziemię i niezależność; nie trzeba znakomitych agitatorów, nie potrzeba protekcji ministrów, łaski Brazylijczyków, sążnistych biletów wizytowych—tylko ludzi czynu i pracy. W Paranie, mówiąc z chłopską, choćbyś ręce po łokcie urobił, jeszcze bardzo dużo się znajdzie: tu roboty nie przerobisz.

Dość przejść się po składach większych domów handlowych: od igły do kapelusza, od papieru do perkalu, wszystko z Europy sprowadzane. Szkół niema, gospodarstwo idzie po omacku, handel jeszcze zamienny; oprócz kilku gorzelni, browarów i jedynej fabryki zapalek—pustki; przy wielkich pastwiskach brak mięsa i nabiału; gdzie spojrzeć, czego tknąć... wszędzie brak.

Tylu ludziom, dzielnym, inteligentnym, jest za ciasno w kraju, niedobrowolnie czy dobrowolnie—wszystko jedno, a w Paranie obszerne pole do pracy we wszelkich możli-

wych kierunkach, ekonomicznych i intelektualnych.

Ludność, bez napływu, a ten jest nieustanny, podwoi się w ciągu 20 lat, bo dziecięć i więcej dzieci to zwykła cyfra, a ludność zamożna, łgnąca do cywilizacji i kultury... i komu tu naprawdę za ciasno, ten może i tam w obranym kierunku pracować.

Ale w Paranie potrzeba ludzi, aby cynamem, nie słowem, pokazali kolonistom, że nasza polska cywilizacja jest istotnie piękną, dobrą i czyni człowieka poważanym i cenionym.

Dziś koloniści, podobnie jak lud na Śląsku, w każdym surdutowcu, w każdym bogatym, wykwinnym widzą cudzoziemca; i to powinno się zmienić.

Piszę tem śmiejąc, że prawdopodobnie wkrótce, jednak zupełnie niezależnie od projektów p. J. Siemiradzkiego, powstanie w Paranie zawiązek polskiego życia.

Adam Krechowiecki.

FIAT LUX!

OBRAZ HISTORYCZNY Z CZASÓW JADWIGI I JAGIEŁŁY.

(12.)

Damy,—rzekł Ziemowit—ale pierwszej powiedzcie oto temu księżciu, jaka czeka go dola...

Niewiasta ramionami rzuciła.

— Albo wiem ja co? — odparła. — Wie Bóg, nie ja...

Ale zarazem z podejścia ognistymi oczyma patrzyła na Jana z Münsterberga.

— Książę...—mruzczała—książę... askąd?... niemiecki, nie... ze Śląska pewno...

— Tak—potwierdził Jan.

— Ano, znam, znam — mówiła stara, trzepiąc rękoma:—schodziłam ja całe Śląsko... schodziłam... Żle tam jest, źle... Czechowie biorą wszystko, zagarniają, to pieniądzem, to siłą... Nie przemożecie ich... nie!

Wzięła z ziemi garść zeszkłej smoły tartej i rzuciła na ognisko.

— Ho, ho... — mówiła — słyszycie, jak skwierczy, jaki czarny idzie dym, a łuczywo zlewa się smołą i płonie... Patrzcie! patrzcie!...

Oblicze jej teraz pałało... Zdawała się z ogromną ciekawością zaglądać w przyszłość, sztywnym, jakby nieprzytomnym wzrokiem.

— Ona niespełna rozumu jest — szepnął zambicki książę.—Chodźmy stąd...

Ale się strzymał, bo stara mówiła dalej:

— O... o... patrzcie! ten kawał drewna odpadł z wielkiego pnia... odgryzł go ogień i pali... To wy!... Ogarnia go płomień, jakby miłowaniem pieścił... Płomień, jeden... a teraz patrzcie... o! o!... rozdziela się... Wyciągnął język ognisty i rzuca was... idzie gdzieindziej... inne drewno chwytą... i miłowaniem ogarnia...

— Co to znaczy?—przerwał niespokojny Jan.

— To znaczy... to znaczy...—szeptała żywo stara, jak nieprzytomna—znaczy, że miłowanie ogniste was ogarnia, ale rzuci i do innego przejdzie... Lecz co to? patrzcie!... o... o... to inne drewno, jak się kurczy... rozpada się i kruszy... Idzie wichra, odmiata płomień znów ku wam... o! o!... a tamto drewno rozpadło się w proch... na węgiel, który krwa-wo się żarzy... o!... już zgasł...

— Więc?—spytał, dysząc, Jan.

— Zginie ten, ku któremu poszło miłowanie wasze, zginie śmiercią krwawą... Patrzcie... o! płomień przyległ znów do porzuconego przedtem drewna i pali go, ogarnia, pieści...

Jan z Münsterberga pochylił się, i z natężeniem słuchając słów pątniczki, patrzył w ognisko.

— Będziecie wreszcie mieli szczęście, miłowanie wasze!...—ciągnęła ona dalej.

Rozjaśniło się na moment posępne oblicze księcia zambickiej ziemi. Oddychał głęboko.

Stara zaś nagle krzyknęła:

— O! o!... a to co? Widzicie?... Okrą-żają was, walą się na was... o!

Gwałtownym ruchem porwała żerdź obok niej leżącą i rozrzuciła ognisko. Nie tak jednak szybko, aby Jan nie dostrzegł, jako owe płonące drewno, podobnie jak poprzednie, ogarnięte zewsząd językami ognistymi, kurczyło się, gięło, stawało się węglem żarzącym—gasło.

Stara patrzyła teraz na zbladłą twarz

księcia i mówiła, jak gdyby ze współczuciem:

— Et... baśnie! Jeden Bóg wie... Wy zaś strzeżcie się sąsiadów... wrogów waszych...

Ziemowit rzucił pątnicze zapłatę, i ująwszy pod ramię Jana z Münsterberga, uprowadził go niemal przemocą.

Stara zaś zwykłym swym przeciągłym głosem rzuciła za odchodzącymi:

— Modlić się będę u progów Krwi Pana Krystowej... iżby wielki Bóg wytargnął was z niebezpieczeństw... Modlić się będę...

Ale Jan z Münsterberga zgębiony był. Słowa starej pątniczki przeniknęły go okropnym przecuciem niechybnej przyszłości. Tej nocy nie zaznał spoczynku.

— Straszna wieszczba! straszna! — powtarzał, chodząc po izbie.—Zrabuje mi Spytko szczęście, miłowanie moje... i obaj krwawą śmiercią zginiemy...

IV.

Od czasu tej biesiady klasztornej wrzalo przez dni kilka na królewskim zamku. Biskup Radlica, ksiądz Wyszyński i Nawój, wspólnie z panami Rady, codziennie korne, ale coraz bardziej stanowcze przedstawienia czynili królowej, jako owe schadзки z księżciem ruskim nieprzyzwoite są.

Ale Jadwiga żadnych przedstawień słuchać już nie chciała. Odrzucała je z oburzeniem, żaląc się na swoją niewolę, a gdy ksiądz Nawój oświadczył jej, jako Regince surowo zabrania na owe biesiady chadzać, odparła porywczo:

— Czyńcie z nią co chcecie... macie pra-

wo. Ale mnie nikt tutaj rozkazać, ani zakazać nie może!

Ze smutkiem tedy widziano, iż biesiady owe nie ustawały, a nie pomogły również upomnienia biskupa, Braciom Mniejszych czynione, ci bowiem zasłaniaли się wyraźną wolą królowej.

W otoczeniu wszakże Wilhelma i w nim samym niepokój wzrastał. Dzień za dniem mijał, żadnej nie przynosząc zmiany, a zbadano, iż na Zamek nawet pokryjomu dostać się było niepodobna dla ciągłej i pilnej straży.

Tedy książe mocno strwożony był; czując się tak blizkim celu, lękał się wszystko utracić: i Jadwigę, której uroda zachwycala go, i piękne królestwo, którego coraz bardziej pożywał.

Codziennie wzywał z rana Gniewosza i Pawła Gryfitę i mówił:

— Radźcie!

— Mam radę i dobrą—odparł raz Gniewosz:—mam sposób dostania się na zamek...

— Więc mów!—rozkazał Wilhelm.

— W orszaku waszym, mości książe, jest jeden rycerzyk młody, który nas przeprowadzi...

— Kto taki?

— Syn Przecława Wąwelskiego, Bolko...

Książę się skrzywił.

— Nie ufam mu... niepewny jest, ponury jak śmierć...

— Onby też rad — wtrącił Gryfita — pozyskać łaski Waszej Książęcej Mości tym czynem...

— Jakże to sprawi?

— W orszaku królowej jest dominicella pewna, Reginka imieniem, którą on miłuje. Porozumiał się z nią...

— Wzbronilem!—krzyknął książe, brwi marszcząc.

— Nie było innej rady — rzekł Gniewosz. — Przyrzekłem mu, iż go usprawiedliwie, a nadto w razie powodzenia wyjednam, że zatrzymacie go, mości książe, na swoim dworze i dopomożecie do poślubienia owej Reginki, za którą szaleje...

I w krótkich wyrazach przedstawił plan cały, jako Reginka na dany znak lub hasło ma otworzyć furtę od baszty, w której bezpiecznie było ukryć się i przedostać do komnat królowej.

— Ale—dorzucił Gryfita—nie dokażemy tego dopóty, dopóki tu jawnie siedzieć będziemy. Wleźliśmy w ten Kraków, jak do ula, gdzie nas zamknęto i trzymają pod strażą...

Wilhelm spojrzał zdziwiony.

— Więc co? ujeżdżać mamy?

— Pozornie—odparł Gryfita.—Trzeba jednak, aby widziano, że ujeżdżamy, i czynić to z jak największą paradą. Za dni kilka, gdy ujrzą, że nas niema, czujność ustanie, strażę zwolnieją... Wtedy będzie czas...

Długo jeszcze rozprawiano o tem i radzono z Ziemowitem Mazowieckim i Suchenwirtem. Ziemowitowi odrazu myśl ta wydała się dobrą, a nawet i Suchenwirt mało oporu czynił. Dla starego pieśniarza miała urok taka miłosna a tajemnicza przystępność.

— Bylebym jeno—mówił—z wami tam, mój książe, szedł i waszej drogiej głowy strzedz mógł...

Tak tedy uczyniono. Skończyły się klasztorne biesiady, a na ostatniej Wilhelm pozornie żegnał królowę.

— Powrócę, jak najrychlej zdołam, powrócę w przebraniu, a wtedy...

Ale królowa słuchać nie chciała.

— Nie mówcie nic! — rzekła — nie mówcie! Czyńcie, jak uważacie... Ja, co przyrzekłam, dotrzymam... drzwi moich przed wami nie zaprę, bo prawo macie... ale wiedzieć nie chcę...

Od czasu owej biesiady we franciszkańskim klasztorze, na której Reginka Bolka ujrzała, była ona w ciągłym zaleknieniu a smutku. Czuła się opuszczoną i samotną, królowa bowiem, ciągle teraz Elżbietką zajęta i jej zwierająca się, oddalała się od dziewczki, która nie od jej woli, lecz od władzy Nawoja zależała.

Powiedziała jej tedy ostro:

— Towarzyszyć mi już nie będziesz!...

A gdy Reginka nieledwie z płaczem pytała: skąd taka niełaska? — Pytaj Nawoja, — odrzekła — on najpierwsze do ciebie prawo ma...

Odtąd smutne dni nastały dla jasnowłosej dziewczki. Gdy orszak królowej, wśród odgłosu trąb i kotłów, wychodził z zamku, ona pozostawała sama wśród pustych i ponurych komnat. Czasem jeno przychodził do niej ksiądz Nawój. Ale surowa jego mowa, prawiąca jeno o umartwieniu i zwalczaniu skłonności złych, nie pociągała jej tak, jak dawniej. Ona słyszała jeszcze w duszy głos Bolka i jego miłosne zaklęcia, na ustach czuła żar pocałunków jego—czyż myśleć mogła o czem innem?... Nie lgnęła przeto do opiekuna swego z taką, jak dawniej, czułością; mroził ją i odstręczał, a miała do niego żal, iż nawet Siemka oddalić rozkazał z pod okien zamkowych, gdy raz przyszedł z cytarą i pieśnią... Zawiadomiony przez panią Beskę, iż Reginka czasu biesiady owej z jakimś nieznanym młodziankiem rozmowę miała, Nawój nie pytał jej wprawdzie o to i wymówek wyraźnych nie czynił, ale czujność podwoił i w napomnieniach swoich jeszcze surowszym się stał. Pod tą strażą Reginka czuła się jak w niewoli, i po raz pierwszy w jej duszy, tak kornej dotychczas, podnosił się bunt.

Ale oto naraz zmieniło się wszystko. Ustały franciszkańskie biesiady, a głośnie mówiono, że książe Wilhelm, widząc, jako nie nie wskóra, razem z całym orszakiem, bardzo paradnie z Krakowa wyjechał. W zamku nastała cisza. Królowa, widocznie smutna i przygnębiona, zawarła się w posępnej milczeniu. A raz, gdy ją sędziwy Dobiesław pocieszać chciał i o Jagielle wspomniał, prze-rwała dumnie:

— Dość tego!... Mocniście byli odegnać ode mnie szczęście, ale nie zdołacie ugnać pod jarzmo!...

Minęło kilka niedziel w takim smutku, jak gdyby wdowim, bo nawet Handzlik z cytarystami nie miał teraz na pokoje wstępu.

Reginka, która po owej z Bolkiem rozmowie, nieraz drżała z lęku, iżby on nie przybył domagać się spełnienia swych żądań, teraz, gdy jej powiedziano, iż Wilhelm ujechał, lękać się przestała, natomiast ogarnęła ją ogromna tęsknota.

— Ujechał wraz z nim i Bolko mój, — myślała—i już go nigdy nie ujrzę!...

Teraz z rozkoszą spełniłaby czego żądał, byleby przybył, byleby go widzieć mogła! Spełnienie zaś żądania stało się zupełnie łatwym, albowiem po odjeździe rakuskiego księcia strażę w zamku zwolniały. Nawet pan Dobiesław z Kurożwęk, urażony ostremi słowy królowej, ujechał doma razem z drużyną swoją. Reginka przypatrzyła się tedy swobodnie furcie owej i przekonała się, że z łatwością zdjąćby mogła zapierającą ją wielką kłódkę, w której klucz zwewnątrz tkwił. W tej stronie teraz nawet nie chodziły warty. Dzieweczka dziwowała się sama swej dawniejszej trwodze. Z jakąż rozkoszą otworzyłaby na dany znak ową furtę i razem z gnębiącą królową wydostała się na swobodę z tej niewoli, w której je dzierzono!... Ale wokół rozpaczliwa pustka! A w zamku coraz grubsza żaloba; królowa już nawet nie opuszczała swych komnat.

Pewnego poranku Reginka siedziała sama w sypialni królowej, która czuła się niemocną, gdy wtem znać dano, iż niewiasta pobożna z Węgier, pielgrzymująca *ad limina Sanguinis Christi*, do cudami słynącego Wilsnaku w Saksonii, pragnęłaby złożyć cześć królowej i ofiarować jej modlitwy swoje.

— Zdaje się być mniszka świątobliwą...—mówiła pani Beska.

Jadwigę wprowadzić ją kazała.

Weszła do komnaty pątniczka w czarnym habicie mniszym, z wielkim krzyżem na piersiach. Z pod czarnej zasłony, która jej włosy i czoło okrywała, wyglądało oblicze ożywione z przenikliwymi oczyma. Wszedłszy, złożyła ręce na piersiach i, zbliżywszy się cichym krokiem, przyklękła przed Jadwigą.

— Pokłon ci, namaszczona królowo! — rzekła po węgiersku, głosem jęczącym:—pielgrzymuję do progów Krwi Chrystusowej, iżby za własne i cudze grzechy przebłagać... Uczyni, miłościwa Pani, ofiarę...

Jadwiga podniosła się nieco z łoża, na którym spoczywała, i odparła:

— Chętnie złożę ofiarę... Wilsnak cudami słynie, a ja wyglądam cudu zmiłowania Bożego... Toż nawet piękny ornat sporządzić kazałam do tamtejszej świątyni...

Dała znak ochmistrzyni.

— Przynieście — rzekła — świeżo utkane materje ze złotego przedziwa, a tej pobożnej pątniczce dajcie dwa wiardunki na wspomnienie...

Pani Beska wyszła, a zaś owa niewiasta, żywo powstawszy, pochyliła się ku Jadwidze:

— Książę przybył... mnie tu przysyła, aby Was, Miłościwa Pani, uprzedzić... Czekaćcie go!...

Twarz królowej pobladła, ale wnet zapłonila się, jak róża. Głowa opadła na wez-głowia, a pierś dyszała gwałtownie. Jadwiga zawarła oczy w wielkiem pomieszaniu.

Tymczasem owa niewiasta bystro rozglądała się po komnacie i, zoczywszy Reginkę, szybko ku niej podeszła.

— Jasnowłose dziewczę — rzekła szep-tem:—Reginka ci na imię?...

— Skąd wiecie?—spytała zdumiona Reginka.

— Ja wiem wszystko...—odparła stara—



NATCHNIENIE

CZESŁAW JANKOWSKI



GIEWONT

znałam matkę waszą Czochnę na budzińskim zamku. Była równie, jak ty, piękna za młodu.

Wsunęła jej pierścień do ręki.

— Bolko, — rzekła jeszcze ciszej — twój rycerz Bolko przysyła na znak... Czekaj zmroku... czekaj hasła... Gdy usłyszysz sowy hukanie, furty odeprzyj, a gdy to sprawisz, rzuć z okna baszty wstążkę białą na znak, że tak uczyniłaś...

Wtem weszła pani Beska, a pątniczka, nie patrząc już na struchlałą Reginkę, zbliżyła się znów do królowej, która ciągle spoczywała jak w omdleniu z zawartemi powiekami.

Mniszka podziwiać poczęła przyniesioną przez ochmistrzynię tkaną materję złotą i srebrną.

— To jakby najprzedniejsza kamcha turecka! — wołała, biorąc tkaninę w ręce i przy-

glądając się zbliżka. — Takiej w Wilsnaku jeszcze nie widziano...

Jadwiga otworzyła mgłą zasłte oczy.

— Powiedźcie tam, — rzekła stłumionym głosem — gdy będziecie u świętych progów, że przyślę niebawem ornat i jeszcze dalmatyk cztery z przedzonego złota... I ofiarę ode mnie zanieście... grzywien dziesięć... Niech pani Beska wypłaci...

Mówiła takim tonem, jakby co rychlej tę rozmowę skończyć chciała. Więc pątniczka znów przyklękła i, ucałowawszy zimną dłoń królowej, oba ramiona do góry podniosła.

— Błogosławieństwo Boże nad tobą, najjaśniejsza królowo! — zawołała. — Błagać będę, aby cudowna Krew Pana Krystowa wszelką odegnała troskę, dała ci takie szczęście, jakiego pragniesz, i moc wielką ku odparciu niebezpieczeństw wszelakich...

Powstała i odeszła z ochmistrzynią,

a Jadwiga znów zawarła oczy i długi moment spoczywała w milczeniu. Ale nagle porwała się.

— Reginko! — zawołała — co ona szeptała do ciebie... ta mniszka? Jest-że to pewne poselstwo?...

Reginka, zbliżywszy się, przyklękła, jak dawniej, na ławeczce u łoża.

— Pewne jest, — szepnęła — najpewniejsze... Przyniosła pierścień od Bolka... Może się już skończy Twoja, królowo, i moja niewola...

Była bardzo poruszona i blada, ale oczy jej jaśniały niezwykle; miały niezłomnego postanowienia wyraz.

— Dzisiaj — mówiła — mam otworzyć...

Jadwiga poruszyła się żywo.

— Cicho! cicho! — przerwała — nie mów mi nic! Ja nie chcę, ja nie mogę wiedzieć... Teraz odejdz, chcę sama pozostać...

Godziny dnia tego wlokły się żółwim

LEON WYCZOŁKOWSKI

krokiem, nietylko dla Jadwigi i Reginki, lecz i dla Wilhelma, który siedział w Mornsteinów domu na rogu ulicy S-go Marka, także Sławkowską zwanej. Była to licha gospoda, o której nie najlepiej w mieście mówiono. Ale też tam najbezpieczniej ukryć się było można, albowiem duża była i ludna, najczęściej wędrownym kupcom służąca. Toż i Wilhelm w przebraniu był, zarówno jak i towarzysze jego: Suchenwirt, Gniewosz z Dalewic, Paweł Gryfita i jeszcze innych kilku, pomiędzy zaś tymi i Bolko Wąwelski. Ten najbardziej był rad, albowiem łaski i zaufania księcia pozyskał i różne przyrzeczenia od niego otrzymał, jeśli przedsięwzięcie się uda.

A dlaczegóżby się powieść nie miało? Dobiesławowej straży w zamku nie było, a niektórych ze służby zdołał pan z Dalewic na swoją przyciągnąć stronę, lub grzywnami przekupić. Aby jednak zapobiedz wszelkiemu rozruchowi niewczesnemu, postanowiono wejść do zamku ową furtą w baszcie południowej, którą Reginka otworzyć miała. Gdy już raz Wilhelm będzie w królewskich komnatach, podnieść miano umyślnie wrzawę wielką, aby to zamieszkanie księcia z małżonką jawnem całej stolicy uczynić. Najęci dzwonnicy, na dany znak zażegnietami pochodniami z okien zamkowych, mieli uderzyć w dzwony, przekupiony zaś miejski strażnik więzienny miał w tymże momencie, wedle zwyczaju, wypuścić z kaźni trzech złoczyńców i dać im wolność, wyprowadzwszy za mury miasta, aby i oni tem dobrodziejstwem świadczyć mogli o dokonaniem małżeństwa królowej. Także i to ułożono, że w chwili wejścia do zamku, Wilhelm i towarzysze jego mieli zrzucić z siebie na wierzch wciągnięte kupieckie kaftany, przyprawione wasy i brody i ukazać się, jak tego obyczaj wymagał, w ceremonialnych, świetnych strojach weselnych.

Zmierzch zapadał. Niebo zasnęło się chmurami; na ulicach mrok i pustka.

Z Mornsteinowej gospody wyszło kilku ludzi w długich kormanach pospolitych. Za nimi w oddaleniu szło jeszcze kilku, a potem znów kilku, aby liczniejszą gromadą niczyjej nie zwrócić uwagi. Szli rozmaitemi drogami, a zejść się mieli u owej baszty południowej.

Reginka spełniła wszystko. Nad wieczorem, rozejrzawszy się wokół i przeświadczywszy, iż ze strażników, którzy o tej porze wieczerali, nie było w tej stronie nikogo, zbiegła ku furcie. Nie przyszło wszakże łatwo otworzyć. Drobne dłonie zaledwie ująć mogły olbrzymią kłódkę. Krwawiły się ręce, pot spływał z czoła, ale wreszcie wielki klucz naciśnięty poruszył się z nagłą i odskoczył tak silnie, że dziewczeczka omal nie upadła. Ale furta stała otworem.

Reginka, zdyszana wybiegła na górę i stanęła u okna baszty. Wychodziło ono po za mur zamkowy, a przy nim nagromadzone były liczne przyrządy na wypadek nagłej pożogi: kosze, liny, powrozy.

Po niebie przewalały się ciężkie chmury. Ale wiatr rozganiał je teraz, i z pośród nich ukazywało się czasem niebo gwiazdami usiane i rzucało blask blady na ściemnioną ziemię.

Po wyteżeniu sił i odwagi opanowała znowu Reginkę trwoga. Boże, co ona spra-

wiała! Cóżby rzekł na to surowy ksiądz Nawój, że obcych rycerzy i Bolka swego wpuściła do zamku? Kłatwę-by na nią rzucił, jako na występłą grzesznicę... I już tego, co się stało, naprawić nie można; zamknąć tej olbrzymiej kłódki nie zdoła jej znużona dłoń!...

Stało się! Ale może Bóg litościwy sprawi, że rycerze nie przybędą, że im coś w drodze przeszkodzi, lub też sami zaniechają zuchwałego zamiaru...

Oparła się o mur zimny i zaleknionem okiem wpatrzyła się w dal... Cisza i pustka; nie słyhać zapowiedzianego hukania sowy... Może nie przybędą...

Serce młotem uderzało jej w piersi; zimny pot oblewał czoło, krew stygła. Chciała się modlić, ale nie wiązały się słowa pacierza; powtarzała jeno drżącymi ustami:

— Boże!... Boże!...

Był taki moment, że chciała biedz do pani Beskiej i wyznać jej wszystko. Niech ona bieży uprzedzić księdza Nawoja... niech furtę zamkna... Lepiej teraz wyznać wszystko, niż potem potępioną być na wieki!

Poruszyła się, chcąc biedz, gdy wtem — uszu jej doleciały dźwięki... Nie był to ponury umówiony znak, lecz znana pieśń Siemkowa.

Oddawna nie przychodził z pieśnią jej nadworny lutnista. Zakaz księdza Nawoja i ciągle snujące się wokół zamku Dobiesławowe straże nie dopuszczały go w pobliże. Od czasu owej biesiady klasztornej nie widziało go oko Reginki. A teraz właśnie w tym groźnym momencie przychodził, dobry i wierny, iżby jej struchlałe serce łagodnym dźwiękiem pokrzepić... Ale snadź nie śmiał przystąpić bliżej; dźwięki zaledwie dochodziły stłumione.

Reginka uchyliła nieco okna... Owionęło ją wonne nocy letniej powietrze i przyniosło wyraźniejsze brzmienie. Jakże słodkie, jak miłe, jak najczulsza pieśń! Ale postaci pieśniarza dopatrzeć nie było można; zasłaniał go załom zamkowego muru. Dziewczę zamknęło oczy i całą duszą wsłuchiwało się w rozkoszne dźwięki; rozchyłonymi ustami wraz z wonnem powietrzem piło czarowne tony miłosnej, tęsknej pieśni.

Nagle pieśń urwała się, nieskończona, jakby struna pękła w cytarze, jakby głos nie stało w piersi... Urwany dźwięk i cisza...

Wzdrygnęła się Reginka i otworzyła szeroko przerażone oczy... Ale nie dojrzała nic—pustka.

Z dających ku zamkowi rycerzy, pierwszy Wilhelm posłyszał dźwięki lutni i niecierpliwie zachnął się.

— Przeklęty—rzekł—jakiś śpiewak wędrowny... Uwagę na nas ściągnąć może... Nakażcie mu milczenie!...

Dwóch pacholików pobiegło w stronę, skąd dochodziły brzmienia, ale Siemko, ujrawszy śpieszących ku niemu, w przekonaniu, że to zamkowe straże, nie czekał, aż go odgonią, pieśń urwał i umknął chyżo. W boczną uliczkę za mur skoczył i skrył się.

Oni zaś gonić nie myśleli. Cała gromada Wilhelмова skupiać się już poczęła pod narożną basztą. Wyznaczano teraz ściśle, kto co uczynić ma. Jako najlepiej miejscowości świadom, boć przecie od pacholęcia rósł tu w przymurnym dworku rodzica, pro-

wadzić miał Bolko. Za nim Gniewosz z Dalewic torował księżciu drogę, dalej zaś Mazowiecki Ziemowit, Suchenwirt i Gryfita z resztą panów, dworzan i pacholców.

Pan Gniewosz wydawał ostatnie rozkazy.

— Naprzód — mówił szeptem — stapać będziemy w mrokach i cicho... Dopiero gdy dam znak, gdy ksiązę do komnat wkroczy, ognia krzesać, pochodnie zażegnać, rozbiegać się po komnatkach i z wrzawą okna oświetlać. Oporu nie będzie; nieliczne straże ujęte... Następnie w wielkiej sali, kędy jest tron królowej, skupić się wszystkim... kormany zrzucić i w strojach uroczystych czekać, aż przybędą królowa i ksiązę...

Suchenwirt zaś, bardzo wzruszony, mówił do Wilhelma:

— Błagam was, mości ksiązę, o spokój... To, co czynimy, złe jest... stałoby się zbrodnią, gdybyście...

— Nie lękajcie się—odparł ksiązę, którego oblicze było teraz niezwykle blade: — zbądźcie się obawy... Przyrzekłem wam i dotrzymam: najkorniejszy będę... Zresztą nadto teraz miłuję ją, iżbym chciał jakikolwiek przymus jej uczynić... Pragnę owszem, aby oddanie królowej nastąpiło w dzień biały, uroczyste, w obecności tych właśnie, którzy mi najbardziej niechętni są... Dziś jeno chcę do zamku wejść... zając go i korny hold złożyć umiłowanej pani mej...

Stary pieśniarz z rozrzewnieniem patrzył na księżcego młodzianka i powtarzał:

— Dobrze... tak dobrze, mój ksiązę!...

Tymczasem Bolko podsunął się pod samo okno baszty i pierwsze dał hasło. Głosem donośnym, a dobrze wyuczonym, zahukał krótko raz, drugi, trzeci, a potem przeciągle, ponuro wołać począł, jak sowa pójdką zwana:

— Pójdz!... pójdz!... pójdz!...

Zamajaczyła w oknie baszty i zachwiała się postać niewieścia... Cisnąc rękoma gwałtownie tętniące serce, Reginka czuła, że jej tchu w piersiach brak. Ruszyć się z miejsca nie mogła, cała zdrętwiała z lęku.

I znowu to hasło:

— Pójdz!... pójdz!...

Czas ostatni. Jeszcze można zawołać o pomoc, obudzić straż, nie dopuścić!... Ale ani głosu ze ściśniętej krtani wydobyć, ani postąpić kroku na chwiejących się nogach.

I jeszcze po raz trzeci hasło. Tym razem donośniejsze, a jakby niepokojem i zniecierpliwieniem drżące:

— Pójdz!... pójdz!...

W tej chwili przypomniła sobie Reginka, jako na owo hasło odpowiedzieć miała znakiem: rzuceniem białej wstęgi z głowy.

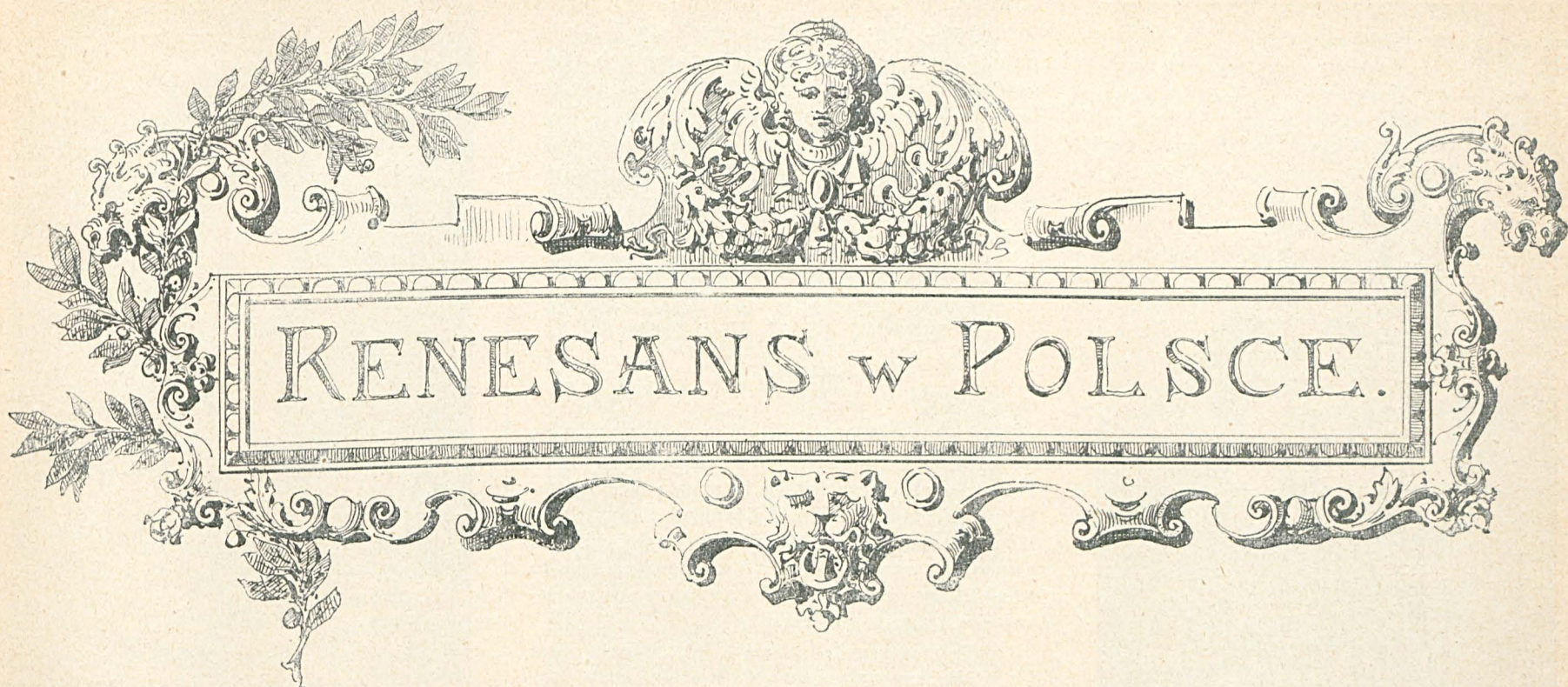
Zerwała ją tak gwałtownym ruchem, że szarpnięte włosy rozplotły się i spadły złościstą falą na jej ramiona.

Nie wahając się już dłużej, wychyliła się nieco z okna i rzuciła ową wstążkę białą w ciemną dal.

Widziała, jak spadała ona zwolna, wiła się, unoszona lekkim powiewem, bielejąca jak skrzydła gołębic w mrokach.

Oparła się całą postacią o mur w głębi framugi i stała tak bez ruchu, jak martwa, nie widząc już i nie słysząc nic.

A oni teraz szli po schodach kamiennych a stromych, stąpali cicho, ostrożnie.



RENEZANS W POLSCE.

Awydawnictwach „Akademii Umiejętności“ jest wiele materiału, ułatwiającego studia nad architekturą naszego kraju z różnych czasów. Opracowania odpowiednie są poparte tam prawie zawsze wybory rysunkami lub fotodrukami. Czoło tych prac stanowią skrzętne i sumienne badania i opisy z rysunkami prof. Wład. Łuszczkiewicza. Oprócz nich, zjawiają się w „Sprawozdaniach“ prace Mar. Sokołowskiego, Stan. Tomkowicza, Sław. Odrzywolskiego, Wł. Łozińskiego, Jul. Wdowiszewskiego, Tad. Stryjeńskiego, Zyg. Hendla, Zubrzyckiego i innych.

Prace znaczniejsze bywają wydawane w odbitkach oddzielnych, co ułatwia nieco korzystanie z nich. Pomimo bowiem wysokiej wartości „Sprawozdań Komisji“ są one mało przystępne z powodu zmieszania ich z różnym balastem historycznym; nie zawsze też odpowiadają one potrzebom praktycznym.

Na ostatnim zjeździe techników w Krakowie, w dziale wydawnictw naszych architektonicznych, pokażne i poważne miejsce zajęła księga, gustownie, a nawet zbytownie wydana przez nakładcę wiedeńskiego Schroll'a, pod tytułem „Renesans w Polsce.“**) Autorem tego dzieła jest znany naszemu ogółowi jako biegły architekt i rekonstruktor zabytków architektury dawnej na Wawelu, prof. Sławomir Odrzywolski.

„Renesans w Polsce“ oprócz zalecenia się niezwykle niską ceną, przegląda się z przyjemnością i z pożytkiem. Historia jest mistrzynią. Zapoznanie się z zabytkami architektury przeszłego postępu, dla idei nowych. Wiedzą o tem ludzie na szerokim świecie, i dlatego to ciągle wzrastająca potrzeba wywołuje wielki ruch wydawniczy, popularyzujący sztuki plastyczne.

Rozmaitość przedmiotów sztuki, przedstawiona i rozrzucona po tych niezliczonych

wydawnictwach, płynie tak szeroką rzeką, budzi tak wielki interes w szerokich kołach wrażliwego na rzeczy piękne ogółu, że właśnie jest tą siłą, mocą, której wdrażają się w umysły czulsze prawidła doskonałej treści, ujętej w formy piękne. Poczucie piękna, przenikając w społeczeństwie warstwy przemysłowo-artystyczne, nadaje ton ich wyrobom, czyniąc te wyroby typowymi w pewnym kierunku, doskonałymi pod względem celowości, pięknymi w ich postaci. Czy taka propaganda rzeczy pięknych, zwłaszcza w dziedzinie architektury, praktykuje się u nas?

W skromnym zakresie i my zaczynamy posuwać się za innymi ludami.

Księga, która mi nasuwa te refleksje, nie ustępuje pod względem wydawniczym księgom podobnym na Zachodzie. Jest ona dobrze pomyślana i ładnie wydana, jest bogatą w siłę rysunkową, jest wierną przedmiotom, które przedstawia, jest jasną dla architekta technika, gdyż daje ogół przedmiotów i ich szczegóły narysowane na skalę i w rzutach geometrycznych, budzi wreszcie najwyższy interes w tych, którym kiedykolwiek przy pracy nasunęło się zagadnienie odtworzenia pewnego typu architektury miejscowej, naszej.

Chociaż jesteśmy hołdownikami mody zachodniej, choć naśladowujemy może nawet ze szkodą naszej indywidualności sztukę cudzą, przecież i u nas niekiedy objawia się chęć uwzględnienia rzeczy swoich.

A jak tu o nich pomyśleć skutecznie, jeśli do dziś prawie, pozostały one nieopisane, niepomierzone, nienarysowane? Pan S. Odrzywolski we wstępie do swej księgi wzmiankuje, jak mało miał poprzedników w pracy analogicznej z tą, jaką wydaje, jak prawie ich niema, jeśli porównać ją z pracami, podejmującymi tak, jak ta, badanie architektury naszej wieku XVI i XVII. Dla architektów, dla szkół zawodowych, brak książek posiłkowych we wspomnianym kierunku dotkliwie czuć się daje, jest zarazem okolicznością mocno polecającą księgę sze-

rokin kołom techników, nauczycieli i różnych zawodców w przemyśle artystycznym.

Zapotrzebowanie architektury i ornamentyki w renesansie, mającym odcień swojszczyzny, budzi się u nas. Widzi się to już tu i owdzie na architekturze, wykonanej na projektach rysunkowych, stworzonych na zamówienie, w programatach konkursowych. Książka p. S. Odrzywolskiego daje możliwość badania stylu, posuwa i rozszerza nasze wiadomości i wzory w pewnym kierunku. A przytem uważam, że odświeżenie architektury domów naszego miasta, na zasadach renesansu wieku XVI i XVII, wyszłoby miastu na dobre. Miłą dla oka jest rozmaitość, ta lekkość i smukłość owych form, co świeżo wyszły z prawideł architektury średniowiecznej. Można tu zwrócić szczególną uwagę kolegów architektów na nadzwyczaj piękne podwórza domostw i pałaców, wykonywane w owych czasach, które zawsze stanowiły ważny czynnik ozdoby i wygody.

Należy też chwycić cechy charakterystyczne tej architektury. Tej charakterystyki swojskiej jest tam, prawdę rzekłszy, stosunkowo niewiele, ale że ona istnieje, nie można wątpić.

W zasadzie architektura to włoska, uprawiona też przez mistrzów włoskich i dzielnych, ma też tę zaletę, że nie może być czerpaną z pierwszej ręki, bez pośrednictwa niczyjzego, bez zabarwienia jej cudzoziemską inaką. I chociaż cała ta puścizna artystyczna czasów ubiegłych należy prawie wyłącznie do ducha tych obcych przybyszów do kraju naszego, „tych skrzętnych, pracowitych i energicznych, jak się wyraża M. Sokołowski, co przyszedłszy z obcych krajów, przywiązani do ojczyzny przybranej, wierni królowi i państwu, nieśli na surowy grunt naszej ziemi kulturę, łączyli nas ze światem zachodnim i przykładali pieczęć do naszej spójni z cywilizacją łacińską;“ choć udział nasz w tej pracy wielkiej w dziedzinie artyzmu „wieku złotego“ do dziś był bardzo nieznaczny, niemniej przeto obowiązek dalszego rozwoju tej pracy spada na nas i nas obciąża.

Niemalą zasługą wydawnictw w ro-

*) Zabytki sztuki z wieku XVI i XVII zebrał i objaśnił Sławomir Odrzywolski w Krakowie.

**) W Warszawie na składzie głównym u Konst. Treptego.



Nowy kościół w Krynicy.

dzaju, jak „Renesans w Polsce,” będzie ułatwienie młodzieży studyów, które muszą wydać odpowiednie owoce, ułatwienie też artystom skończonym poszukiwania charakterystyki stylu.

Okolicznościowo, czy też z obmyślenia, pomniki architektury wieku XVI i XVII u nas, zebrane w pewną całość w książce p. S. Odrzywolskiego, dają dokładne wyobrażenie o charakterystyce owych budowli, o bardzo rozmaitem przeznaczeniu i ich celu. Tak więc architektura kościelna jest w książce reprezentowaną przez przepiękną kaplicę Zygmuntowską, która w latach ostatnich została odrestaurowana i przyprowadzona do dawnej świetności pod bezpośrednim kierunkiem autora wydawnictwa. Architektura prywatna ma w książce S. Odrzywolskiego bardzo liczne wzory, tak całokształty starych siedzib magnackich, dziedzińców różnych domostw, jak i wielorakie okazy szczegółów

tych budowli prywatnych. Architektura grobowców jest świetnie przedstawiona przez różne typy tego rodzaju nagrobków i tablic, napotykaných po różnych świątyniach Pańskich. Wreszcie architektura stosowana do przemysłu ma tam w tej księdze swoje liczne a nader piękne okazy w postaci różnych sprzętów, tak kościelnych, jak i prywatnych.

JÓZEF DZIEKOŃSKI
budowniczy.



W KRYNICY.



(Echa zjazdu lekarzy).

Rzemiennym dyszlem objeżdżając zdrojowiska galicyjskie, przybyło w piątek d. 27 lipca kilkudziesięciu uczestników IX zjazdu polskich lekarzy i przyrodników do Krynicy. Z wyjątkiem kilku Poznańczyków i kilku lekarzy z Galicyi, oraz dwóch czy trzech z Kijowa i z Kaukazu, byli to sami lekarze z Królestwa, nazwiska w świecie lekarskim i naukowym głośne.

Krynica przyjmowała ich otwartem sercem i z wielką uroczystością: cała kolonia gości krynickich wyruszyła na ich powitanie, a osobny komitet podejmował bardzo gościnnie. Wieczorem odbył się wspaniały bal, nazajutrz zaś wielki obiad, a przedtem odsłonięto uroczyste w obecności przybyłych pomnik ś. p. d-ra Józefa Dietla, niegdyś profesora i rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego, znakomitego lekarza i uczonego, zasłużonego później prezydenta miasta Krakowa, a zarazem prawdziwie, jak powiada napis na pomniku: „Wskrzesiciela Krynicy,” gdy bowiem rząd austriacki, który jest właścicielem Krynicy, widząc, że utrzymanie zdrojowiska nie opłaca się, zamierzał je w połowie upływającego stulecia zwinąć—ś. p. Dietl swoimi pracami naukowymi wykazał ogromną siłę leczniczą źródeł krynickich, a zabiegami sprawił, że rząd od zamiaru wspomnianego odstąpił i zdecydował się nawet na znaczne wkłady w to uzdrowisko karpackie. Od tego czasu rozpoczęła się nowa era dla Krynicy, a gdy na czele kraju stanęli urzędnicy-obywatele, kraj swój kochający, Krynica poczęła z każdym rokiem podnosić się, tak, że obecnie, zwiedzający ją lekarze—goście uznali zgodnie, iż to, co widzą, przeszło wszystkie ich oczekiwania, i zgodnie nadali Krynicy nazwę „perły zdrojowisk” galicyjskich.

Postęp Krynicy istotnie każdy nieuprzedzony uznać musi bez zastrzeżeń, chociaż niewąt-



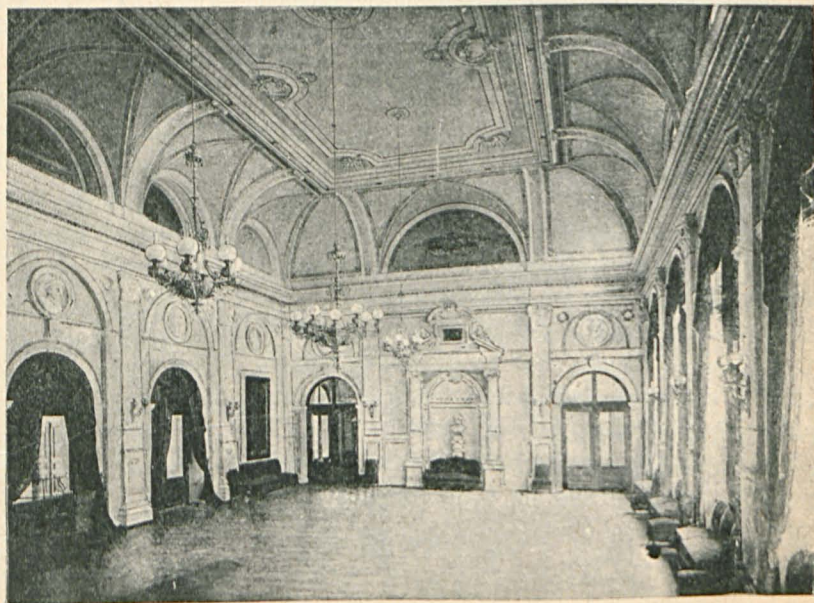
Statua N. M. P. Łaskawej w Krynicy.

pliwie jest i tu jeszcze niejedno do zrobienia. Wybornie jednak urządzone łaźienki tak borowinowe, jak i mineralne, w r. z. otworzono nawet kilka wytwornie urządzonych łaźienek t. zw. salonowych, dalej wspaniały dom zdrojowy z restauracją i cukiernią, oraz salami balowymi i czytelną, piękny „deptak,” na którym orkiestra zdrojowa pod batutą A. Wrońskiego codziennie po dwakroć daje koncerty, śliczny park ze statuetką Matki Bożej Łaskawej, ławką Kraszewskiego, spacerami wśród cieniu, aż na szczyt góry Huzary—liczne rozrywki, teatr, zebrania i t. p.; z drugiej strony znowu nowo wzniesiony, zgrabny kościół (według planów Zawiejskiego): to wszystko, tudzież położenie wśród uroczych gór i przyrodzona siła źródeł krynickich, mogą i powinny uczynić z Krynicy „letni salon” naszej publiczności, która, bawiąc tutaj, może odzyskiwać siły.

Od lat czterech stoi na czele zarządu zdrojowego Krynicy p. Antoni Mravincics, który z prawdziwym zapalem pracuje około dobra powierzonego swej bezpośredniej pieczy zdrojowiska. Gorącego orędownika mają wszystkie ulepszenia i re-



Łazienki mineralne w Krynicy.



Sala balowa w domu zdrojowym w Krynicy.

formy w Krynicy w protomedyku Galicyi, d-rze Józefie Merunowiczu; zarówno zaś poprzedni namiestnik Galicyi, jak i obecny hr. Piniński, oraz jego zastępca p. Liol, są najgorliwsiymi rzecznikami interesów Krynicy wobec władz w Wiedniu.

x.

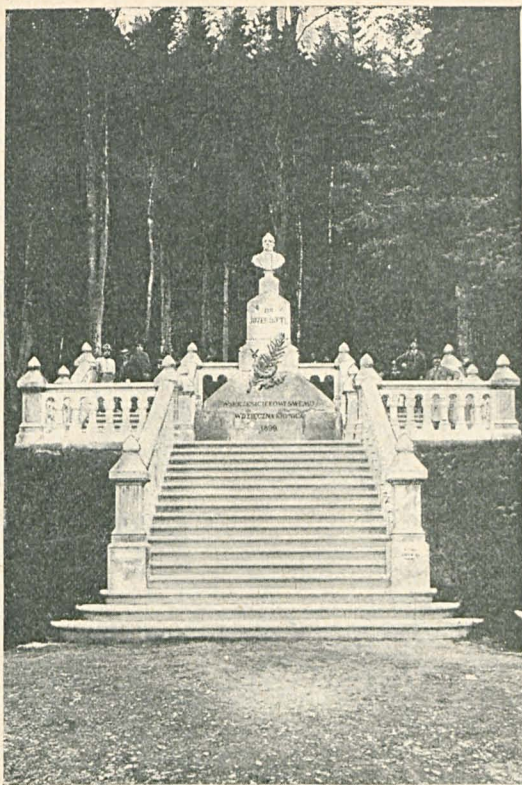


Nasze ryciny.



Czesław Jankowski. Czesław Jankowski lubuje się w tematach symboliczno-alegorycznych, nie jest jednak symbolistą we współczesnym, „modernistycznym” znaczeniu tego wyrazu. Symbol nie roztopia się u niego w mgłę nastrojowo-kolorystycznej, lecz ujęty zostaje w wyraźną formę rysunkową. „Natchnienie” upostaciował malarz w figurze młodzieńca, odzianego w długą, powiewną szatę, ulatującego ku niebu. Wzrok i ręce podniesione w górę zdają się wzywać potęg nadziemskie o zesłanie odżywczego źródła myśli i wiary. W „Brzasku” widzimy skrzydlatą postać z pochodnią w dłoni, unoszącą się nad ciemnym globem ziemskim i rozpraszającą mroki nocy. Wykonanie obu utworów odznacza się delikatnem wykończeniem szczegółów i jasnością kompozycji.

Leon Wyczółkowski. *Giewont.* Wyczółkowski należy do artystów, którzy nie stoją na miejscu i nie zamykają się, choćby w najkunsztowniejszym szablonie; przeciwnie, ciągle szukają nowych dróg, nowych wrażeń i nowych sposobów technicznych. Obszerniejszą charakterystykę działalności artystycznej Wyczółkowskiego, daliśmy w N.



Pomnik Dietla w Krynicy.

51 (z r. 1899) poświęconym specjalnie temu artyście. Do sylwetki, pomieszczonej w owym numerze, odsyłamy czytelników, dodając tylko, że reprodukowany obecnie obraz, p. t. „Giewont,” należy do szczęśliwie

udałych eksperymentów kolorystycznych, w których się autor lubuje. Obraz wyobraża górę Giewont w nocy: na tle gwiazdzistego nieba majaczącą kontury tatrzańskiego olbrzyma. U stóp góry błyszczą latarnie, których mętne światło stanowi kontrast z czystym blaskiem gwiazd. Artysta postawił sobie bardzo trudny problemat i rozwiązał go, jak zwykle, znakomicie.

Głód w Indjach. Kłęski głodowe w Indjach zdarzają się peryodycznie co czas pewien i obejmują zwykle szerokie przestrzenie kraju. Powodem ich z jednej strony bywa długotrwała susza, z drugiej zaś ubóstwo ludności, która, płacąc olbrzymie podatki rządowi angielskiemu, nie może robić zapasów żywności. Rząd daje wprowadzić głodnym zboże ze swoich magazynów, ale to nie wystarcza do zażegnania kłęski. Rysunek, który dajemy, wyobraża trupy zmarłych z głodu, ułożone na szczapach drzewa, w celu spalania, jak tego wymaga rytuał pogrzebowy Indów.

Wiktor Gomulicki.



W I E R S Z Y K I.



ODRODZENIE.

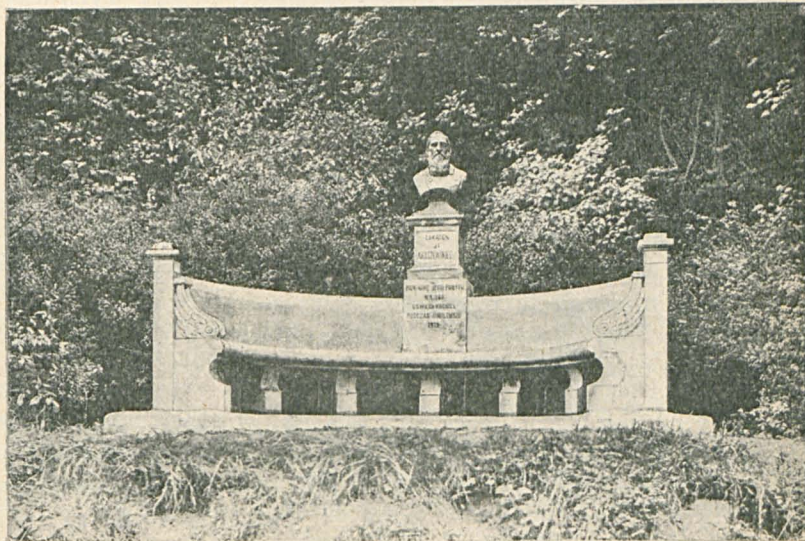
Powiem, że odrodzenia doba już niedługa,
Gdy z ludzkiej mowy znikną słowa: „pan”
i „sługa.”

MIZANTROPIA.

Wówczas człek zrywa z towarzystwem ludzi,
Gdy się w nim zwierzę, albo anioł zbudzi.



Krynica: Widok ogólny.



Ławka Kraszewskiego w Krynicy.

Sztuka na wystawie paryskiej.

I.

Nystawy są zwłaszcza ciekawe i ważne nie przez to, co nam dają, lecz przez to, co sami z nich bierzemy. Kilkadziesiąt milionów publiczności, które przepłyną przez wystawę paryską, oglądać będą bez mała wszelkie jej osobliwości. Ciekawość przetrząśnie wszystkie kąty wystawy. Tłum będzie się gapił na sztuczne ognie i egzotyczne pochody, będzie się tłoczył przed witrynami jubilerów i pościelił przed wszystkimi majstersztykami efekciarstwa wystawowego. Ale, gdy syt wrażeń, rozejdzie się do domów — prawdziwie niewiele

z tych cudałów zatrzyma w pamięci, a jeszcze mniej — w duszy.

Nie mówię tu o fachowcach i o nabytkach wiedzy technicznej, którą mechanik, inżynier, kupiec, czy lekarz, mogą poczynić na wystawie.

Ale co z niej weźmie w siebie, co najtrwalej i najpowszechniej zatrzyma z tego widowiska olbrzymi kilkudziesięciomilionowy tłum?

Może uderzy go ogrom wysiłku ludzkiego, zużytego dla zbudowania tej efemerycznej krainy cudów, której trwanie obracho-

wano na dni i godziny? Może zapamięta potworny oddech machin, żelaznych kolosów, których pracą błyszczą te miryady światel wieczornych, suną ruchome platformy, biegają koleje, poruszają się mechanizmy tysiąca fabryk i fabryczek, zaimprovizowanych w Pałacu przemysłowym?

Nieprzebrany skarb wiedzy i energii ludzkiej zawierają w sobie te równo dyszące kolosy-motory, i kto wie, czy ich praca, taka spokojna i systematyczna, a tak druzgocząco potężna, nie ożywi w wyobraźni milionów martwej formułki „postępu”? Może wreszcie



GŁÓD W INDYACH.

tłumy te, rozpraszając się po świecie, uniosą w duszy dreszcz zgrozy na wspomnienia innych jeszcze kolosów, dział Maxime'a, pancerników, torpilerek i wielofuntowych pocisków, tkwiących w tarczach żelaznych, jak w maśle? I znów przeciwstawienie naoczne tych dwóch potęg, z których jedna obraca w perzynę to, co wznosi praca drugiej, rozjaśni tym tłumom sprzeczność jeszcze jednej formuły, zawartej w wyrazie „cywilizacya“?

Wszystko to być może i wszystko to zależy zapewne od stopnia wrażliwości, który te tłumy z sobą przyniosły.

Ale jest pewna kategoria wrażeń, która narzuca się nieodparcie wszystkim, z której każdy najlichszy obserwator, najciemniejszy człowiek, weźmie coś dla siebie.

Wrażeń tych dostarczy sztuka.

Gdy nad Sekwaną w zachodnim słońcu błyszczą frontony gmachów, smukłe wieżycy i jasne kolumnady, podobne szeregowi zaczerpniętych pałaców, to urok ów, który każdy odczuje, będzie dziełem sztuki. Gdy tłum, wchodzący od pól Elizejskich, zwolni nagle kroku i bezwiednie podda się harmonii otoczenia, czując wyraźną rozkosz, spływającą z tych cudnych i wspaniałych linii perspektywicznych—to będzie znowu dziełem sztuki. W tysiącu dziwactw poronionych, ozdób bez treści, przedmiotów martwo-bogatych i bezmyślnie pysznych — uderzą widza tylko te dzieła, które siłą wyrazu przemówią do duszy—wyraz ich będzie dziełem sztuki.

Potem w męczącej wędrówce przez labirynty sal malarstwa orzeźwi go nieraz potęga jakiejś wizji, moc i śmiałość, słodycz lub ból, marzenie lub przedziwnie odsłonięta ręka artysty rzeczywistość. W tłumie białych zjawień rzeźby będzie snuł się, zapominając o tem, gdzie jest i po co przyszedł, oddany cały wzruszeniom chwili. Tych zapomnień i widzeń na jawie dostarczy znowu sztuka, zawsze sztuka.

I w końcu, gdy nawet zatrać się w pa-

mięci zwiedzających wystawę wszystkie jej cuda i cudactwa, pozostanie niewątpliwie jedno trwałe żdźbło tęsknoty, którą w duszach zaszczepli sztuka.

Oto czasem w pamięci powróci jakiś kształt wytworny, jakieś wrażenie półświadome piękna w życiu, jakieś może przecucie, że mógłby kiedyś, będzie kiedyś istniał świat, gdzie frontony zaczerpniętych pałaców, i smukłe wieże, i blask słońca, i barwność malowideł, i biel posągów złączą się w jedno wspaniałe tło życia, uszlachetnią je i zaczerpują według jakiejś lepszej miary.

Nie piszę hymnu na cześć wystawy paryskiej. Aż nadto dotkliwie czuję tysiące jej poronionych i bezdusznych dziwactw, tysiące sprzeczności.

Trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że tkwi w niej potężny wysiłek przekształcenia życia według jakichś idealnych wzorów. Wzory często zawodzą, siły jeszcze częściej, ale wysiłek ten istnieje.

Przeminie trochę czasu: kramarze zamkną sakwy i zgarną z wystaw towary, jarmark się skończy, brzęk złota przestanie szeregować gorączkę, ale pamięć wielkiego, zbiorowego wysiłku upiększenia, uszlachetnienia kształtów życia przetrwa i zapadnie w duszę tłumów. Zaś źródłem tego wysiłku jest—sztuka.

II.

Gdyby można było cały ten chaos prób i zamiarów artystycznych, które są treścią sztuki na wystawie, ująć w jednym, najsilniejszym wrażeniu—powiedziałbym bez wahania, iż największym jej tryumfem jest—rzeźba.

Być może, iż mam specjalne upodobanie w tej sztuce, której dzieła żyją tak samodzielnie, choć jednocześnie może najściślej ze wszystkich objawów sztuki wiążą się z życiem ludzkim. Rzeźba jest przede wszystkim sztuką wielkich, otwartych przestrzeni. Zdobi słoneczne frontony gmachów, place pu-

bliczne, parki, świątynie, ulice, cmentarze—brata się niejako z człowiekiem ta skamieniała poezja i potężnie uszlachetnia jego uroczystości, wierzenia, obrzędy, prace swoją obecnością. Rzeźba, wieńcząca kolumny kwiatem i owocem marmurowym, wychylająca się z zieleni ogrodów i stojąca na straży grobów, jest jakby najpierwszem kwitnięciem życia w sztuce. Zdawałoby się, że niema bardziej ziemskiej, powszedniej sztuki, niż ta, granicząca z prozą malarstwa.

Tymczasem, rzecz szczególna, najwzniolejszych oderwań się od życia dostarcza również ta sama sztuka, działając naraz potęgą swego rytmu, jak muzyka, porywem wyobraźni, jak poezja, plastyką i harmonią, jak malarstwo.

Zresztą, mniejsza o filozofię, gdy oto mamy przed sobą wielkie bogactwo tej sztuki, cały jakby z kamienia wymarzony świat.

Paryż szczególnie usposabia do pokochania rzeźby. Naprzód jest to jej prawdziwy panteon, poczynając od Venus z Milo i Zwycięstwa z Samotrakos, kończąc na dziełach Carpeaux i Dalon'a—ma się tę całą historię jej rozwoju przed oczyma. Nie jest to jednak muzeum sztuk pięknych.

Miasto byłoby wielką kamienną pustynią, gdyby nie uszlachetniały go na każdym kroku te pomniki, te posągi i kolumny.

Można nie znać ich nazw, ani ich autora, ale niepodobna nie uleść ich urokowi. Czy to przy Łuku Tryumfalnym, czy w Tuileries, czy na Placu Zgody, czy wreszcie w ogrodach miejskich, obecność rzeźby skupia jakby, potęguje wszelkie wrażenie, organizuje je w artystyczną całość i doprowadza do świadomości. Z przepelnionych świątyń swoich, z muzeów Louvre'u i Luxembourg'a tłum posągów zstąpił w ulice miasta i zbratał się z jego życiem.

Jakoż główną cechą rzeźby francuskiej od najdawniejszych czasów jest życie—w po-

staci ruchu czy wyrazu, którego tak pełne są te dzieła.

Carpeaux w roku 1863 pisał:

„Trzeba nam walki, trzeba nam dramatu zarówno w najprostszych i najsmutniejszych tematach. Nie podobna już dziś tworzyć posągów bez znaczenia: pięknych przez samą tylko piękność, bogatych dla przypodobania tłumowi. Ludność wzburzona, jak nawałnica, ciskająca pokolenia przeciw pokoleniom—oto obraz teraźniejszości, obraz zrozpaczenia.“ Wyrazy te sięgnęły może dalej, niż dzieła Carpeaux, ale dla całej rzeźby francuskiej były jakby przepowiednią, streszczeniem jej aspiracji. Oddać w kamieniu nie samo li piękno kształtów, nie wdzięk spokoju, nie harmonię członków, lecz oddać piękno w ekstazie, w walce, w ruchu, oddać potęgę wyrazu, tragizm życia, całą „nawałnicę“ życia—oto tradycja rzeźby francuskiej, cel jej wielkich wysiłków.

Venus z Milo i Zwycięstwo z Samotrakos są tu w najwłaściwszym zapewne otoczeniu, bo tu artysta nie przestał borykać się z głazem, jakby się borykali dla coraz nowych zwycięstw nad marmurem potomkowie Praksytelesów i Fidyaszów, gdyby mogło istnieć takie prawe potomstwo geniuszu przez wieki i pokolenia.

Ta atmosfera życia, przenikająca, jak widzimy, rzeźbę francuską z wewnątrz, przez wysiłek twórczy, i z zewnątrz, przez bratanie się sztuki z potrzebą kraju, miasta—jest naj-

większym tryumfem Francji artystycznej. I wystawa daje to poznać nawet w tym małym stosunkowo ułamku całości, który tu zgromadzono.

Nie zmarnowano ani jednego działu cennego dziedzictwa: żyje i rozwija się dziś, jak za czasów Davida d'Angers, kunsztowna sztuka medalionu. Rodzaj i rzeźbę zwierzęcą po Barye'm doskonałą jego uczniowie.

Rzeźba architektoniczna pomnaża i rozwija swe zastosowania, zespół swój z architekturą. Sztuka pomników wzbogaca się nieustannie; dość przypomnieć nowsze utwory, jak pomniki: Watteau, Maupassant'a, Delacroix. Ale nadewszystko potężnie postępuje praca około odwiecznego, zasadniczego tematu rzeźby—człowieka. W gruncie rzeczy każdy temat w rzeźbie jest tylko pretekstem do wydobywania na jaw jeszcze jakiegoś ruchu, jakiegoś wyrazu, jakiegoś ugrupowania członków i ciał ludzkich. I pod tym względem Francja nowoczesna jest po prostu jedyną kontynuatorką Grecji. Ten naród, dziwnie kojarzący entuzjazm z wyrachowaniem, odwagę ruchu z poczuciem miary, rasowość i kulturę z wiecznym pragnieniem nowych form, ma, jak się zdaje, wszelkie warunki wielkiej sztuki plastycznej. Ma ją samą przedewszystkiem, więc widocznie posiada „warunki.“

Na wystawie tegorocznej, prócz reprodukcji i pamiątek działu retrospekcyjnego, wystawiają razem Falguière, Dalon, Barrias,

Mercié, Charpentier, Bartoldi, Bartholomé, Dubois, Carries, Meunier, Frémiet, Thomas, Chaplain. Ile nazwisk, tyle zwycięstw sztuki, tyle dzieł, dzieł życia całego. Bo są to już po części mistrzowie i nauczyciele młodszych pokoleń, jak Falguière, Dalon, Barrias, Thomas, po części pracownicy w pełni rozwoju, na zdobytych już posterunkach, jak Bartholomé, Meunier, Mercié. Jedni i drudzy tworzą jakby zgłoski, bez których niemasz historii rzeźby współczesnej.

Rzeźba architektoniczna, rzeźba rodzajowa, rzeźba akademicka, płaskorzeźba, medalion, tradycje Carpeaux lub Barye'go, wszystko to zawierają w sobie te nazwiska. A jednak nie zawierają bynajmniej całej treści współczesnej rzeźby francuskiej, ani w jej nadziejach na przyszłość, ani nawet w jej tryumfach dzisiejszych.

Nadzieje leżą w tłumie, literalnie: tłumie całym bezimiennych jeszcze młodych pracowników, którzy niecierpliwie stają do pracy obok starych.

Próżno się kusić o ich wyliczanie: każdy kierunek rzeźby ma swoich wybitnych kontynuatorów. Wystawa wygląda nie jak muzeum, lecz jak potężny, kipiący twórczością warsztat kamiennych wcielań i urzeczywistnień życia.

Tryumf zaś największy święci rzeźba francuska w chwili obecnej niewątpliwie w Rodin'ie.

DN

ANTONI POTOCKI.

Kronika powszechna.

Urzędowe.

Rozkaz do wojsk warszawskiego okręgu wojskowego Nr. 149. Warszawa, 29 lipca (11 sierpnia) 1900 r.

Mieszczanin m. Częstochowy, Konrad Stanisław syn Franciszka Jeziorowski, włościanie gub. Kieleckiej—Aleksander syn Józefa Mrozik, Piotrkowskiej—Józef Władysław syn Wincentego Krawczyk, Stanisław syn Jana Gliniński, Kieleckiej—Andrzej syn Franciszka Rutkowski i Piotrkowskiej—Józef syn Jana Karcz, po przeprowadzonym co do nich śledztwie

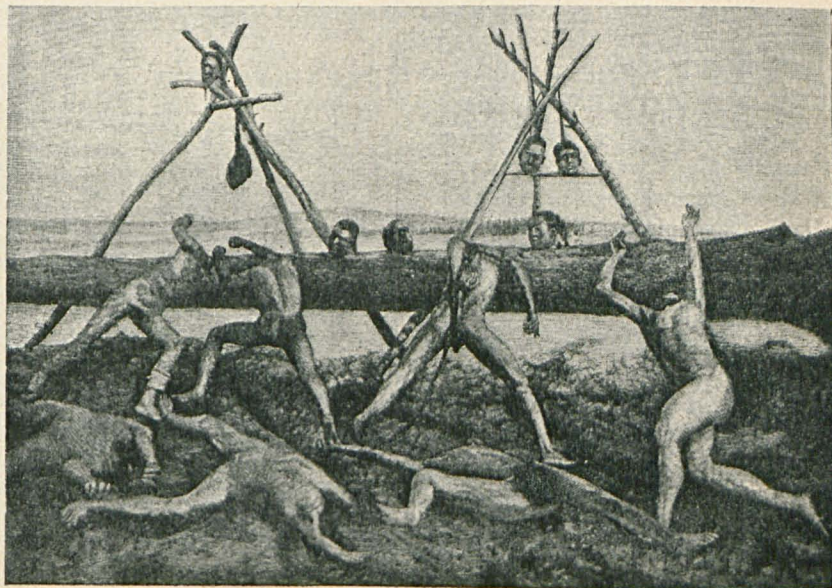
pierwiastkowym i osobnym badaniu, oskarżeni są o to, że będąc członkami tajnej polskiej partii socjalistycznej, mającej za cel główny obalić drogą przemocy istniejący w Rosji porządek państwowy, i dowiedziawszy się, że maszynista kopalni „Fanny“ Jan Mazur chce donieść władzom rządowym o kółku socjalistów w wymienionej kopalni, żeby przeszkodzić temu, Jeziorowski i Mrozik umyślili pozbawić go życia i podmówili do urzeczywistnienia swego planu Krawczyka, Glinińskiego, Rutkowskiego i Karcz, którzy,

znając powód do zabójstwa Mazura, zgodzili się wykonać plan Jeziorowskiego i Mrozika, i w tym celu wieczorem d. 23 listopada 1899 r. we wsi Sielce, pow. Będzińskiego, gub. Piotrkowskiej, na odnodze kolejowej w kopalni „Ludwik“, uzbroiwszy się—Krawczyk i Rutkowski w noże, a Gliniński i Karcz—w pałki, napadli na Jana Mazura, i tą bronią, oraz długą wąską deską, która była w posiadaniu Mazura, z rozmysłem zadali mu, w celu pozbawienia życia, dwie rany w głowę, miażdżąc kości czaszki, i 15 ran no-

żem, od których Mazur w pół godziny później umarł. Czyn ten jest przewidziany 13 art. ust. kar. i popr. wyd. 1885 r., i na podstawie 31 § ust. o środkach ochrony porządku — 279 art. XXII ks. Zbioru Postanowień Wojskowych 1869 r. wyd. 2. Za wymienione przestępstwo, mieszczanin Konrad Jeziorowski, włościanie: Aleksander Mrozik, Józef Krawczyk, Stanisław Gliniński, Andrzej Rutkowski i Józef Karcz, na podstawie wymienionego 31 art. ustawy o środkach ochrony porządku państwowego, oddani są pod



Rybacy mandżurscy, oczekujący na parowiec (Błagowieszczeńsk).



Trupy rozbójników chińskich (na granicy).

sąd wojenny dla osądzenia według praw stanu wojennego. Oryginał podpisał: Głównodowodzący wojskami, generał adjutant

Książę Imeretinski.

Z nad granicy Chin.

Zaburzenia w Chinach weszły w nową fazę z chwilą, kiedy wojska chińskie na granicy Mandżurii rozpoczęły kroki nieprzyjacielskie przeciwko Rosji. W poprzednich numerach „Tygodnika” daliśmy dwa artykuły ozdobione oryginalnymi ilustracjami: jeden o Mongolii, której przestrzenie leżą niedaleko teatru wojny, drugi o kolei Syberyjskiej, która nadspodziewanie szybko po wybudowaniu zaczęła odgrywać swoją rolę strategiczną. Obecnie dajemy dwa widoki z granicy syberyjsko-mandżurskiej. Jeden wyobraża charakterystyczną grupę kolonistów syberyjskich i rybaków mandżurskich, oczekujących w Błagowieszczeńsku na parowiec, mający ich wieźć po Amurze, który, jak wiadomo, stanowi granicę pomiędzy Syberią a Mandżurią. Ponieważ kolej Syberyjska dochodzi tylko do Strietenska, więc przerwanie niedawne żeglugi po Amurze odbijało się bardzo dotkliwie na ruchu towarowym i pasażerskim. Drugi rysunek wyobraża trupy rozbójników chińskich, których ścięto za wdarcie się do okręgów złotoносnych. Głowy ściętych rabusiów zatyka się dla postrachu na wysokich tykach.

Z prasy polskiej.

Prawda: „Sprawa misjonarzy w Chinach”; „Cienie chińskie” (nowela) przez Wacława Sieroszewskiego; Pamiętnik: „Nożownicy” (autor przeprowadza paralelę pomiędzy nożownictwem a pojedynkomania warszawską).—*Ateneum* wydało zeszyt podwójny (za lipiec i sierpień): „Poezya polska w świecie XIX w.” przez Kazimierza Włostowskiego (dokończenie), rzecz bardzo interesująca; „Dramat polski w XIX w.” przez A. Neuwert-Nowaczyńskiego. W rozbiórach zwracają uwagę surowa ocena pracy d-ra Józefa Siemiradzkiego „Polacy za morzem” przez Rajczyca, dalej ocena „Argonautów” Orzeszkowej przez Józefata Nowińskiego; „Dyabła w poezji” Ig. Matuszewskiego przez H. Gallego, oraz studyów i wrażeń Langego przez J. T. Hodiego.—*Życia* wyszedł numer ostatni. Redakcja zapowiada, że w jesieni pismo będzie wznowione; kto sobie życzy, może wzamian otrzymać „Chimerę”, która zacznie wychodzić w Warszawie pod redakcją Przesmyckiego (Miriamy). Nr ostatni *Życia* zawiera „Dla szczęścia” Przybyszewskiego, oraz obszerny dział recenzji: „Ludzie bezdomni” Żeromskiego, „Listy człowieka szalonego” Niemojewskiego etc.—*Kronika Rodzinna* Nr 14: „Kilka słów o masoneryi”; „Śmierć Garcia Moreny” dramat (przekład z niemieckiego); „W czepku się urodził” powieść M. Synoradzkiego; „Zdrowie i higiena”; „Pod godłem Krzyża”; „Przez morza i lądy” przez Sk.—*Mucha* daje od pewnego czasu zwięzłe i dowcipne notatki wierszem o nowych książkach. Jest to nowość w naszej humorystycznej periodyce. Epigramaty niepodpisanego autora odznaczają się zawsze poprawną

formą i bardzo trafnym niekiedy ujęciem przedmiotu.

Zmarli.

Józef Wolff, historyk, zmarł w Heidelbergu. Był synem księgarza petersburskiego. Po ukończeniu szkół średnich w kraju i uniwersytetu w Lipsku oddał się pracy na polu finansowem, poświęcając się współcześnie studjom historycznym, za które otrzymał godność członka korespondenta Akademii krakowskiej. Napisał „Senatorowie i dygnitarze W. Księstwa Litewskiego 1386—1795”, „Kniaziowie litewskorusy od końca XIV w.” „Żyd ministrem króla Zygmunta I.”

Antoni Mieszkowski, literat, b. redaktor „Kuryera Codziennego”. W młodym wieku, przeżywszy zaledwie 35 lat, zszedł ze świata s. p. Antoni Mieszkowski, dziennikarz zdolny i ruchliwy. Kształcił się w gimnazjum realnem i przezczas krótki w szkole handlowej Kronenberga, a następnie w Krakowie, i zajmował kolejno posady recenzenta teatralnego, felietonisty przygodnego, redaktora „Kuryera Codziennego” i w końcu sekretarza redakcji „Wieku”. Nim praca publicystyczna pochłonęła zupełnie zmarłego, s. p. Mieszkowski próbował sił swoich na polu twórczym i już jako młodzieniec dwudziestoletni, pod pseudonimem J. A. Sęka, wydał w Krakowie zbiór nowel przyjętych życzliwie przez krytykę. Zaslugą s. p. Mieszkowskiego było pobudzenie i ożywienie ruchu literackiego w Łodzi; on też pierwszy zwrócił w prasie warszawskiej baczną uwagę na stosunki, panujące w tem mieście

wielkiem, a tak odmiennem od innych miast Królestwa. Przez krótki czas mieszkał nawet w Łodzi i kierował tamtejszym „Gońcem Łódzkim”. Pracował również dawniej i w „Tygodniku Ilustrowanym.”

Pożar Klasztoru Jasnogórskiego.

W chwili oddania N-ru pod prasę otrzymaliśmy wiadomość z Częstochowy o pożarze klasztoru Jasnogórskiego. Wieża runęła. Opis i ilustracje katastrofy damy w przyszłym numerze.

Polityka.

W kwestyi chińskiej stoi teraz na porządku dziennym dyskusja zamianowanie naczelnego wodza dla wojsk związkowych w Chinach, na którego został powołany hr. Waldersee, feldmarszałek armii niemieckiej. Informacje są dotychczas sprzeczne co do tego, czy wszystkie państwa zgodziły się już na tę nominację, a jeśli tak jest, to jeszcze nastroczają się różne wątpliwości. W prasie niemieckiej, która źle ukrywa zadowolenie pychy narodowej, pewną troskę budzą takie np. pytania: jaką będzie kompetencja naczelnego wodza? czy mocarstwa oddadzą mu władzę nad swemi flotami, jak to uczyniła 1860 r. Anglia, nakazując swemu admirałowi, aby służył rozkazów Francuza Palikao? czy Waldersee będzie miał prawo żądać od mocarstw posiłków i rezerw? czy krnąbrnych i opornych generałów obcej narodowości będzie mógł karać podług przepisów ordynacji wojskowej

pruskiej? czy przy nakreślaniu planów będą mieli głos także podwładni feldmarszałkowi komendanci: angielski,



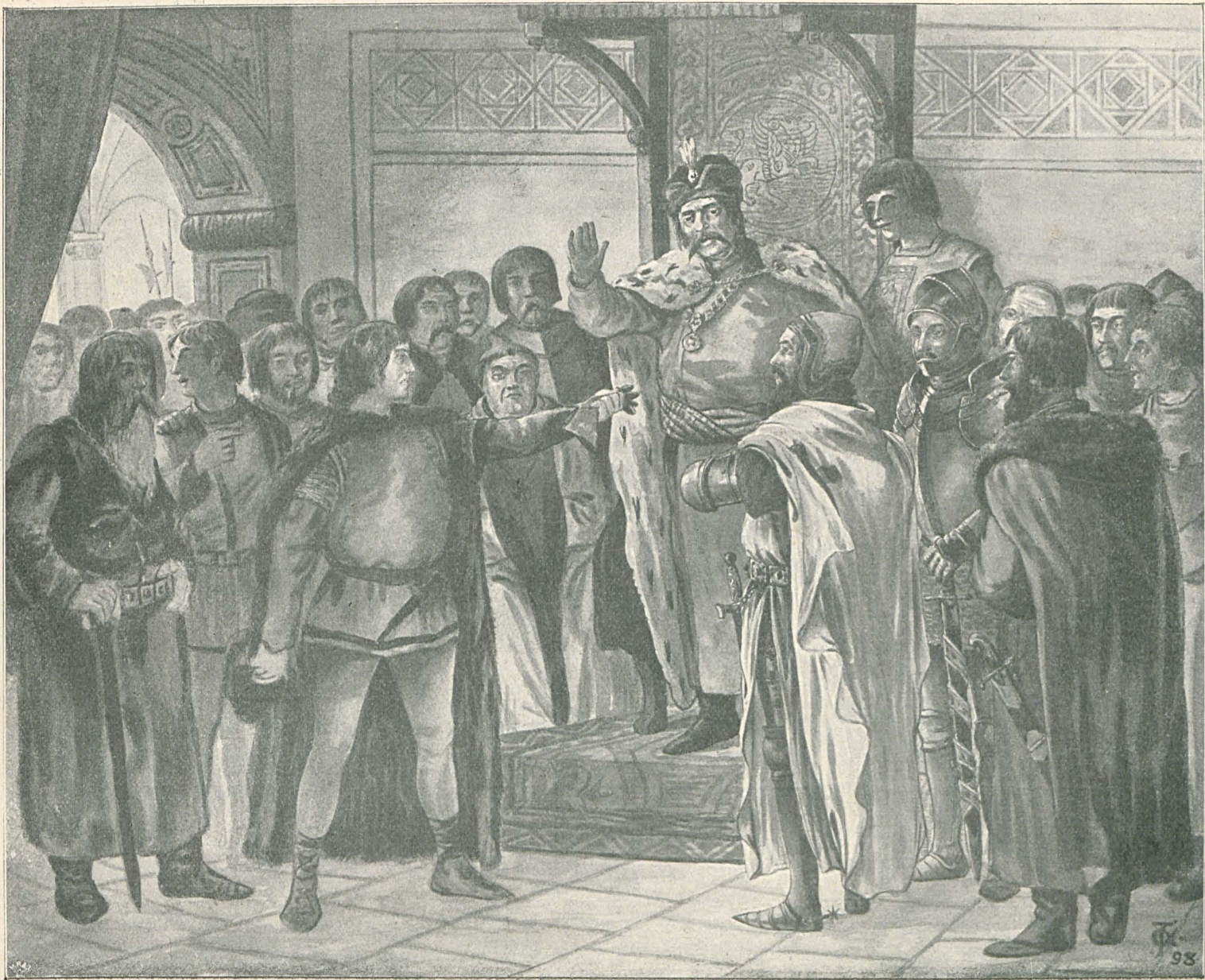
Li-Hung-Czang.

austro-węgierski, amerykański, belgijski, francuski, japoński, rosyjski i włoski? czy w tej skomplikowanej machinie nie znajdują się źle ustawione kołki, które wprawdzie w należytych trudnościach będą nawet słynnemu z talentów marszałkowi? Są to chmurki, zaciemniające jasny obłok zadowolenia ze zdobytego zaszczytu. Ale najwydatniejszą w szeregu „trudności” jest kwestya rozległości mandatu niemieckiego marszałka. Wyrażenie: „głównodowodzący wojsk związkowych w Chinach” nie jest ściśle. Na ten punkt zwraca uwagę telegram londyński, w którym powiedziano, że Anglia zgadza się wprowadzić na dowództwo hr. Waldersee, o ile inne państwa zgodzą się również, ale nie na dowództwo ogólne w „Chinach”, lecz w prowincji Peczili. Znaczy to, iż Anglicy, w myśl tego, co powiedział Brodric w Izbie gmin, nie troszczą się, kto ma dowodzić ich oddziałem na północy, ale gdzieindziej zachowują sobie wszelką swobodę decyzji. Wynika to z planu akcji angielskiej, która kładzie główny punkt ciężkości na dolinę rzeki Jangtse i Szangaj, gdzie obcego dowództwa uznać nie chce. Niezależnie od tego, z drugiej strony widownia wypadków w Mandżurii na pograniczu rosyjskiem także jest odosobnioną, i z pewnością chyba żaden komendant obcy dopuszczony tu nie będzie. Tak więc działalność hr. Waldersee ograniczyłaby się istotnie prowincją Peczili, t. j. terazniejszą linią operacyjną Taku—Tientsin—Pekin. Ponieważ zaś według wszelkich danych—wojska związkowe wkroczą do Pekinu przed przybyciem głównodowodzącego, poczem bardzo prawdopodobnie nastąpi okres układów, przeto cała misja feldmarszałka przedstawia się wogóle dość niewyraźnie. Ze strony dyplomatycznej należy wspomnieć, że rząd chiński objawia chęć układów, do których przeznaczono Li-Hung-Czanga, ale mocarstwa chcą wprzód zająć Pekin. Stwierdzono już ostatecznie, że oprócz zamordowanego posła niemieckiego, inni posłowie żyją, lecz bezpieczni jeszcze nie są.—We Włoszech król Wiktor Emanuel III złożył już przysięgę na konstytucję i objął rząd.

Z TEK I HUMORYSTYCZNEJ FRANCISZKA KOSTRZEWSKIEGO.



— Gadaj co chcesz... ale bez wódeczki jakoś smutno!
— Ba!... ale po wódeczce jeszcze smutniej!



ZBYSZKO WYZYWA ROTGERA

ALEKSANDER hr. TYSZKIEWICZ

Nowa historia literatury polskiej.

Go do tego, że istniejące u nas podręczniki dziejów literatury ojczystej nie stoją, pomimo wielu zalet, na wysokości zadania — nie było oddawna dwóch zdań. Zgodzono się również i na to, że jedynym pisarzem, któryby mógł dzisiaj podobne dzieło napisać, jest Piotr Chmielowski, autor wielu cennych monografii historyczno-literackich, a zarazem wytrawny i doświadczony pedagog.

Różne przyczyny odwróciły tę robotę, do której Chmielowski przygotowywał materiały; wreszcie przymusowe oderwanie się od zajęć nauczycielskich i redaktorskich dało uczonemu znawcy piśmiennictwa naszego niezbędny do wykonania podobnego przedsięwzięcia spokój i swobodę.

Chmielowski nakreślił plan 6-cio-tomowej „Historii literatury polskiej” i ogłosił drukiem w ciągu r. z. większość dzieła, t. j. tomów cztery. Reszta ukaże się prawdopodobnie w ciągu r. b.

Z opublikowanych tomów, dwa (I i II) dają obraz literatury naszej od jej początków do końca wieku XVIII, stanowią więc niejako zamkniętą całość, którą można ocenić krytycznie.

Przedewszystkiem nasuwa się pytanie: czy autor postąpił słusznie, poświęcając całej literaturze polskiej do XVIII stulecia łącznie trzecią część dzieła zaledwie i pozostawiając resztę, t. j.

dwa razy tyle miejsca na piśmiennictwo wieku dziewiętnastego?

Naszem zdaniem, tak. Popierwsze bowiem literatura wieku XIX przewyższa nieskończenie jakościowo i ilościowo literaturę ubiegłych stuleci, podługie zaś owoce twórczości staropolskiej są już dawno ujęte w pewien systemat, gdy piśmiennictwo nowoczesne czeka jeszcze na klasyfikację syntetyczną.

Wszystkie dotychczasowe podręczniki literatury traktowały szczegółowo tylko epokę romantyczną i w części przedromantyczną; to, co nastąpiło potem i wypełniło połowę naszego stulecia, przedstawia się jako bezładna, różnobarwna mozaika, klejona dorywczo, bez planu i myśli przewodniej.

O tem jednak, w jakie ramy ujął autor literaturę wieku XIX, będziemy mówili przy rozbiórce czterech ostatnich tomów dzieła; obecnie zajmujemy się dwoma pierwszymi.

Autor dzieli historię literatury naszej „według znamion charakteryzujących rodzaj myśli, uczuć i pragnień, przejawiających się w ciągu rozwoju dziejowego,” na 3 epoki.

Pierwsza, najdłuższa, bo 4 z górą obejmująca stulecia (od 966 do 1400), obejmuje olbrzymią pracę zakładania podwalin religii i cywilizacji chrześcijańskiej w duchu katolickim i w ścisłym

związku z Europą Zachodnią. Przewodzi tu *duchowieństwo* i nadaje literaturze barwę *kościelną*.

Druga (od XV do końca XVII wieku) jest czasem „wzrostu potęgi i rozkładu Rzeczypospolitej,” opartej na przywilejach jednego panującego stanu. Barwa literatury jest *szlachecka* w rozmaitem połączeniu, przyjaznem, lub nieprzyjaznem, z dążnościami Kościoła.

Trzecia nakoniec epoka, obejmująca wiek XIX, jest — zdaniem autora — dopiero w początkach swoich; krystalizacja jej ideałów jeszcze nie nastąpiła, ostatnie słowo jeszcze nie jest i nieprędkiem zapewne będzie wypowiedziane.

Kierunek tej epoki charakteryzuje Chmielowski w sposób następujący: „Dążność do wyrażenia myśli, uczuć i ideałów *całego narodu bez różnicy stanów*, a za pomocą środków różnorodnych, nieraz wprost sobie przeciwnych. Dążność ta dotychczas nie urzeczywistniła się jeszcze w całej pełni, lecz zrobiła już niemałe postępy i w związku z całym współczesnem dążeniem rozwija się i ugruntowuje dosyć szybko.”

Podział ten, jak widzimy, odznacza się prostotą, jasnością i naturalnością.

Epokę pierwszą dzieli autor na dwa okresy: 1) Od przyjęcia chrześcijaństwa do pierwszej połowy XIII w. Wyłącznym językiem jest w tym okresie łacina; wytworem — roczniki, kroniki, legen-

dy, listy i t. p. 2) Od połowy XIII do końca XVI w.; tu łacina pozostaje przeważnym językiem literackim, ale zjawiają się i zabytki polskie, odpowiadające potrzebom kościelnym; charakter produkcji literackiej przypomina okres poprzedni z dodatkiem żywotów świętych, pieśni religijnych i—wyjątkowo—pieśni świeckich.

W epoce drugiej, „szlacheckiej“, życie umysłowe bije żywym tętnem, a twórczość różniczkuje się coraz wyraźniej; wskutek tego wynika konieczność podziału tej epoki na większą liczbę okresów ewolucyjnych. Autor przyjmuje ich cztery: 1) Wiek XV—moment rozbudzenia się żywiołu świeckiego do życia umysłowego. 2) Wiek XVI i część XVII—doba najświetniejszego rozkwitu umysłowości szlacheckiej. 3) Przeważna część wieku XVII i połowa XVIII—okres zacieśnienia widnokręgu duchowego i upadku smaku. Wreszcie 4) druga połowa w. XVIII—„dramatyczny moment wysiłków, by zażegnać rozkład Rzeczypospolitej szlacheckiej.“

Te syntetyczne ramy wypełnia autor portretami pisarzy i charakterystyką dzieł, nie zapominając nigdy o podmalowaniu tła historyczno-społecznego. Biografie są krótkie, a charakterystyki zwięzłe; wszystko jednak, co zasługiwało na uwzględnienie, jest uwzględnione; pominięto tylko balast niepotrzebnych szczegółów, które, nie wnosząc do umysłu czytelnika nic ważnego, obciążałyby pamięć i zaciemniały jasność i przejrzystość wykładu.

A przyznać należy, że wykład jest nie tylko jasny, do czego zresztą byliśmy u Chmielowskiego przyzwyczajeni, lecz zajmujący i żywy. Czuć, że książkę pisze człowiek, nie tylko znający przedmiot do gruntu, lecz i rozmiłowany w nim głęboko.

Charakterystyki niektórych pisarzy i ich stosunku do społeczeństwa odznaczają się niezwykłą siłą wyrazu i trafnością. Do takich należy np. charakterystyka Krasickiego, którego popularność tłumaczy autor brakiem głębszych zalet pisarskich przy niezrównanym wdzięku, lekkości i potoczności. Nie otwierał on przed czytelnikiem szerokiego horyzontu myśli, ale go bawił i zajmował, dając przytem lekkostrawny obrok duchowy. „Taki uzdolnienia—powiada Chmielowski—należą do potęg, które rządzą największą liczbą interesów i są sprężyną działania największej liczby ludzi.“

Tak jest, niestety, „felietonowość“ była u nas ceniona wyżej nad inne zalety literackie na długo przed wynalezieniem felietonu przez Francuzów.

I nie wiem, czy się nie mylę, ale zdaje mi się, że Chmielowski w całym dziele kładzie specjalny nacisk na naszą lekkość i powierzchowność, że uważa je za znamienne cechy umysłowości polskiej i że na nich buduje psychologię literatury naszej. Sam się poniekąd przyznaje do tego na początku swojej pracy, przytaczając następujący ustęp z Kromera: „Pojętne są umysły Polaków i okazują dzielność we wszystkim, do czego się zwrócą; lecz wolą raczej poznawać cudze wynalazki, niż same coś nowego obmyślić i doskonałość w jakiegokolwiek rzeczy osiągnąć, niechętnie bowiem poświęcają się jednej sztuce, lub nauce, pragnąc wiedzieć wiele, a nie posiadając wytrwałego w pracy zamilowania.“

Ta charakterystyka, napisana przed 300 przeszło laty, i dzisiaj jeszcze jest prawdziwą. To też miał prawo Chmielowski powiedzieć, że „wyjaśnia ona wiele zagadek w rozwoju literatury naszej“, podobnie jak dostrzeżone przez Taine'a w czasach starogermańskich zamilowanie swobody, poczucie obowiązku i skłonność do melanco-

lii tłumaczyły mu zagadki psychologiczne piśmiennictwa angielskiego.

Rzecz prosta, że wyjaśniając, jak powiada Chmielowski, „wiele“, charakterystyka Kromera nie wyjaśnia wszystkiego, gdyż, bądź co bądź, wulkaniczny wybuch romantyzmu nie zrodził się z niczego, lecz musiał wytrysnąć z jakichś głębokich, niezbadanych warstw duszy narodowej. W tej kwestii atoli mówić będziemy przy rozbiórce treści tomów, traktujących o literaturze wieku XIX.

Złożywszy należyty hołd pracy Chmielowskiego, musimy wyrazić pewne życzenie, skierowane pod adresem wydawców. Ponieważ „Historia literatury polskiej“ jest dziełem wyjątkowej wartości, należałoby czytelnikom ułatwić korzystanie z niego. Książkę tych rozmiarów i tej treści nie tylko się czyta, ale się do niej powraca, zagląda niejednokrotnie, szukając informacji, wskazówek i t. p. Otóż bez dokładnego spisu rzeczy podanego na początku lub na końcu, najlepsze dzieło traci wiele na wartości, nie literackiej, naturalnie, lecz, że tak powiemy, praktycznej.

Nie zapominajmy o tem, że jesteśmy narodem, który nie lubi przy zdobywaniu wiadomości trudzić się zbytecznie! Zresztą Niemcy, którzy nas przewyższają wytrwałością i cierpliwością, nie zapominają nigdy zaopatrzyć najdrobniejszej broszury nie tylko w spis rozdziałów, lecz w kilka rejestrów alfabetycznych, zawierających wykaz nazwisk, przedmiotów i tytułów omawianych w książce. Tymczasem ani jeden z 4-ch wydrukowanych tomów literatury nie posiada nawet spisu rozdziałów, tak, że chcąc znaleźć potrzebną w danej chwili informację, trzeba przewracać kartkę po kartce. Należałoby zapomnienie poprawić i dołączyć do następnych tomów odpowiednie indeksy, a po ukończeniu całości wydawnictwa uzupełnić je szczegółowym rejestrem alfabetycznym. Dzieło Chmielowskiego, będące owocem kilkunastoletniej pracy, zasługuje na to.

IGNACY MATUSZEWSKI.



Od redakcyi.



Każdy prenumerator „Tygodnika Ilustrowanego“ w r. b. 1900 otrzymuje

bez żadnej dopłaty co miesiąc tom

Dzieł H. Sienkiewicza,

czyli rocznie 12 tomów.

Na oprawę 12-tu tomów Sienkiewicza w roku bieżącym dołączać należy rs. 2; w tym stosunku oprawa 6 tomów kosztuje rs. 1, oprawa 3 tomów 50 kop.

Cena ozdobnej okładki na komplet półroczny „Tygodnika Ilustrowanego“ rub. 1, przesyłka okładki kop. 35, przesyłka 2 okładek kop. 50. (1 złr. 90 ct., z przesyłką 2 złr. 10 ct.).

Ze względu na wielką liczbę zapotrzebowań na oprawne egzemplarze dzieł Sienkiewicza, prosimy, dla unormowania nakładu, o wczesne nadsyłanie tych zamówień, ażebyśmy odpowiednią liczbę opraw przygotować mogli.



Kwartał I-szy Tygodnika ilustrowanego na rok bieżący jest zupełnie wyczerpany. Prenumeratorowie od II kwartału mogą nabywać 3 pierwsze tomy Sienkiewicza z r. b. (t. 13, 14 i 15) za dopłatą rs. 1 kop. 50, lub rs. 2 za też tomy w oprawie.

NADESŁANE.

WYDAWNICTWA GEBETHNERA i WOLFFA:

STEFANA ŻEROMSKIEGO

ŁUDZIE BEZDOMNI

Wydanie 2-gie, 2 tomy Rub. 2.

UTWORY POWIĘSCIOWE

Treść: Na pokładzie.—O żołnierzu tułaczem.—Tabu.—Cienie.—Kara.—Legenda o bracie leśnym.—Promień. Rub. 1.20.



ADAMA KRECHOWIECKIEGO

NAJMŁODSI

Powieść. Wydanie drugie, 2 tomy. Rub. 2.—

RDZA

Powieść. 2 tomy. Rub. 2.40.

STAROSTA ZYGWULSKI

Powieść historyczna. Wyd. 2, 2 t. Rub. 2.—

SZARY WILK

Powieść historyczna. Wydanie 2. Rub. 1.50.

VETO!

Powieść historyczna. Wyd. 2, 4 t. Rub. 4.50.

Biuro Bankowe Gazety Losowań

Krakowskie-Przedmieście Nr 53,

od 1 sierpnia 1900 r. Krakowskie-Przedmieście
nr 47/49 dom własny

ma honor podać do wiadomości, iż wystawia

PRZEKAZY I LISTY KREDYTOWE

na wszystkie miejscowości świata, specjalnie

na PARYŻ (BIURO W GMACHU WYSTAWY)

oraz na miejscowości kuracyjne:

Aix-les-Bains, Arcachon, Biarritz, Dieppe, Pau-Trouville, Vichy, Franzensbad, Karlsbad, Marienbad, Ischl, Gmunden, Teplitz, Akwizgran, Baden-Baden, Ems, Homburg, Kołobrzeg, Kissingen, Nauheim, Schlagenbad, Wiesbaden, Ostenda, Spaa, Zakopane, Krynica, Szczawnica i t. d.

Przekazy te i listy kredytowe zabezpieczone być mogą: gotowizną na procentowym rachunku bieżącym, papierami publicznymi, weksłami lub hypotekami.

ROCZNA MĘSKA CODZIENNA

SZKOŁA HANDLOWA

Gust. Chwata.

Programy w Księgarni Wendego.



TRZYKLASOWA ŻEŃSKA

SZKOŁA HANDLOWA

Gust. Chwata

dla panien od 9 lat. Erywańska 14.

KURSY HANDLOWE ROCZNE

S. Rogulskiego

dla kobiet. Warszawa, Krak.-Przedmieście 17.

KURSY HANDLOWE ROCZNE

S. Rogulskiego

dla mężczyzn. Warszawa, Krak.-Przedm. 17.

